



ROK LVIII

MISŁO GŁODNIOWE I ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

NR 30

WARSZAWA, 25 LIPCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Instruktorzki tkackie—*E. Gulbinowa*. Działaczki okresu konspiracyjnego (c. d.)—*Helena Ceysingerówna*. Kongres międzynarodowej Rady w Waszyngtonie. W ojczyźnie „ludzi normalnych.” Conrad o księciu Romanie Sanguszcze—*K. Bielańska*. Wiersze—*H. Helne*. Świat kobiecey (część II) c. d.—*Marja Grossek-Korycka*. Tydzień w Lubelskiem c. d.—*Marja Dąbrowska*. Dwa-dzieścia pięć—jedenaście (romans) dok.—*Marja Jehanne Wielopolska*. Idylla na Arktyku (c. d.)—*Juljusz Wirski*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miłaszewska*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Dział praktyczny: Mody i roboty. —*Kapelusz, szal i parasolka*. List z Paryża—*Sekwa*. Treny i kryzy, koronki i szale w epoce Empire'u—*Spero* Higjena dziecka. Pod znakiem zieleni i słońca—*L. Konopacki*. Jaką powinna być pani domu?—*I. S.* Modne manje—*W.* Nowy park. Czy się oplaci robić zapasy na zimę?—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Siostra Walerja”—*Emanuel Castelbarco*—(przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*). ARKUSZ WZORÓW.

INSTRUKTORKI TKACKIE

By zainteresować nasze czytelniczki tak bardzo wdzięcznym terenem dla pracy kobiecej, jakim może się w Polsce stać tkactwo — podajemy artykuł o szkołach tkackich na kresach.

(Przyp. Red.).

Szesnaście ich tego roku opuściło szkołę tkacką im. A. Mohłówny w Wilnie i wyfrunęło już w świat. Szesnaście naszych placówek powstaje na rubieżach państwa, bo każda z nich, razem z dyplomem, otrzymała przydział instruktorski.

Wychodzą ze szkoły — instruktorki tkackie mało dziś jeszcze znane, bo od paru zaledwie lat szkoły tkackie tworzone są na szerszą skalę przez Minist. Oświaty. Do tej pory rzecz cała zostawiona była inicjatywie prywatnej, a właściwie, jeżeli mowa o wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, inicjatywie jednostki. Jest nią, zaszczytnie znana na polu ludowego przemysłu tkackiego, hr. Anna Mohłówna, która od lat 35 niestrudzenie w umiłowanym przez siebie zawodzie pracuje, przygotowując wciąż nowe zastępy młodych pomocnic. Ostatnim wyrazem, szczytem poczynań niezrównanego Jej życia, jest coraz lepiej rozwijająca się średnia szkoła instruktorek tkackich w Wilnie, którą obecnie z całym zaufaniem w hojnym darze przekazała państwu.

Jeżeli twardą i trudną jest dola nauczycielki szkoły powszechnej, o ileż trudniejszą — instruktorki, która, bez przesady, jest pionierką przemysłu na kresach, zmuszona walczyć z powszechnem niemal, gdy chodzi o przemysł ludowy, zacofaniem, ciemnotą wsi, dziwnem niezrozumieniem najprostszego własnego interesu, nie mówiąc już o interesie kraju.

Instruktorzka — to nowy typ pracownicy. Trudno więc byłoby wskazać zgóry dokładnie zakres jej działania i obowiązków — określa ją samo życie, warunki otoczenia, potrzeba chwili. I czegoż żąda się od niej: mistrzostwa w tym zawodzie, układania nowych wzorów i farbowania tkanin, prowadzenia ksiąg buchalteryjnych i rachunkowości, wykładu przedmiotów ogólno-kształcących i zawodowych, kierownictwa internatem, wychowawstwa, uspołecznienia i t. d. i t. d.

Zanim zacznie uczyć dziewczęta udoskonalonych metod tkactwa, zanim rozpocząć będzie mogła swoją pracę zawodową, musi najpierw zachęcić je i pociągnąć, wiele przesądów zwalczyć i jasno, na rzeczowych przykładach się opierając, wskazać płynące z tego korzyści. A skoro już dadzą się przekonać, skoro przyjdą i zasiądą przy warsztatach, skoro tkalnia ożyje gwarem głosów i miarowym rytmicznym stukotem, coraz wprawniej przerzucanych

czółenek, rozpocznie się nowa, a niełatwiejsza część zadania instruktorki. Podczas wieczornych lekcji, w krótszych lub dłuższych pogadankach, w przyjacielskich rozmowach, w stałym obcowaniu przy pracy i przy zabawie, rozwijać ma w dziewczętach poczucie narodowe i uświadomienie obywatelskie.

Ona sama jeszcze tak młoda, jeszcze przed kilkoma miesiącami na ławie szkolnej siedząca, dziś już rolę wychowawczyni piastuje, a wychować ma nie dzieci, a nieraz równe sobie wiekiem, lub nawet starsze, dziewczęta.

Mistrzynią w zawodzie tkackim została, świadczy o tem chlubnie dyplom, wieńczący wysiłki trzyletniej pracy szkolnej. Czy również potrafi spełniać te inne obowiązki? O tem dyplom milczy.

Obawy są tu rzeczywiście poważne. Rozwiązują się jednak, gdy się na tę grupkę młodocianych instruktorek spojrzy i czas bodaj krótki z niemi pobocuje.

Więc teraz o nich trochę — o tej szesnastce. Młode są i pełne zapału, wiedzą, że praca ich nie będzie łatwa, mają przykład na starszych kolegach, które już ubiegłej wiosny opuściły szkołę i od roku „torują drogę im młodszym”. Promienieje od nich moc czystych ukochań i wiary w dokonanie i spełnienie swych zadań. Do pracy stają świadome swych sił, dalekie od lęklności i bojaźni, a tak bezmiernie ufne, że potrafią, bo muszą, bo cięży

na nich odpowiedzialność, oglądać się zaś na pomoc znikąd nie mają.

A ta ufność we własne siły jest poczęści usprawiedliwiona. Dzieci wojny — rozbitki, którym zawierucha zburzyła ogniska rodzinne — sieroty przezważnie z głodem, cierpieniem dobrze obeznane, przebojem szły przez szkołę. Tak się stało, że zrosły się z nią, a ona przystosowała się do nich. Potrzeba im było ciepła i serca, więc szkoła ich zatracła sztywną oficjalność, staje się niemal domem rodzinnym.

— Tak nam tu dobrze, mówiły niejednokrotnie nauczycielki i wychowanki. I rzeczywiście było tam wszystkim dobrze. Z tem też wspomnieniem, które zatarło w części przynajmniej ciężkie krzywdy, przez los w dzieciństwie im zadane, poszły teraz w życie.

Czem ich ono przyjmie, jak powita? — któż zgadnie.

Ale jakieś dziwnie jasne uczucia napełniały serca zebranych na ostatniej uroczystości szkolnej rozdania dyplomów, połączonej z aktem przyjęcia samodzielnej dotąd placówki przez władze oświatowe Rzeczypospolitej.

Jasno i spokojnie czyniło się w duszy, gdy się patrzyło na te pogodne twarzyczki i gdzieś poza mury wybiegające oczy, w dal, ku temu „nowemu życiu”, które woła i czeka, aby je zabrać z ich szkoły radosnej.

E. Guibinowa.

DZIAŁACZKI OKRESU KONSPIRACYJNEGO

5

W sztabie Tajnego Nauczania pracowano literalnie dni i noce. Kobieta zamożna, jaką, dzięki pracy męża była kierowniczką tajnej akcji oświatowej, często żywiła się byle czem, poprostu nie dojadła, wszystkie pieniądze, przeznaczane na własne potrzeby, kładąc w opłatę nauczycielek. Bywały, mimo to, chwile, że pieniędzy brakło, że wyczerpywały się wszystkie źródła. Aniołem opiekunym Tajnego nauczania bywała w takich razach p. Antonina Dziewulska. Śpieszyli zawsze chętnie z pomocą d-r Antoni Natanson, Karolina Zielińska, Jadwiga Krausharowa, Cecylja Walewska. Składali bezinteresownie daninę swych talentów literaci, artyści w formie odczytów i produkcji artystycznych „na cel”.

Pod koniec istnienia organizacji udało się Śniegockiej zainteresować pracą swoją Henryka Sienkiewicza i Antoniego Osuchowskiego,

którzy dostarczać zaczęli znacznej części funduszów, potrzebnych na utrzymanie tajnych szkół. Było to jednak już w ostatniej fazie tej działalności, już wówczas, gdy przechodziła ona stopniowo w normy legalne.

Wbrew przewidywaniom „ludzi rozsądnych”, „Tajne nauczanie” trwało lat 12 i to bez żadnej znaczniejszej „wsypy”. Policja rozpędziła kilka szkółek, kilka razy nauczycielki i właścicielki lokalów szkolnych odsiadywały po parę tygodni „kozy”, ale całość organizacji nie została nigdy ujawniona, pomimo, że wszystko to razem było, niejako, świergotem wróbli, po dachach rozgłaszane, że było to tajemnicą, o której wiedziały tysiące nie tylko ludzi dorosłych, ale i dzieci.

Gdy praca Tajnego Nauczania poczęła się rozwijać, zwróciło na nią uwagę Koło Kobiet Korony

i Litwy i, zapraszając C. Śniegocką do dawania stałych miesięcznych sprawozdań, oraz zapewniając wszelką pomoc, na jaką je stać było, wcieliło prace Tajnego Nauczania w całokształt swojej organizacji, jako jedną z sekcji. Jednocześnie bowiem, na wniosek Stefanji Sempołowskiej, dzieląc się na poszczególne sekcje, Koło uległo poważnej ewolucji. Sekcja Tajnego Nauczania obszarem swojej pracy, sferą wpływów, znaczeniem przetrwała całe Koło. Prócz niej istniała Sekcja Prowincjonalna, na której czele stanęła Cecylja Śniegowska. Zadaniem jej było szerzenie oświaty wśród ludu wiejskiego i po małych miasteczkach. Robiono to głównie przez rozsyłanie biblioteczek, złożonych z popularnych książek legalnych.

Sekcja Pedagogiczna miała na celu samokształcenie nauczycielek przez poruszanie zagadnień wychowawczych i dydaktycznych, spra-

wozdanía z wychodzących dzieł z zakresu pedagogii, wygłaszanie referatów, układanie programów i t. d. Sekcją kierowała St. Sempolowska, później, o ile sobie przypominam, Teodora Męczkowska.

Sekcja społeczno-polityczna była ogniskiem dyskusji najczęściej na aktualne polityczne tematy. Referowano na niej także coraz obficiej dochodzącą polityczną prasę zakordonową, książki, broszury wszelkich kierunków. Przewodniczącą Sekcji tej była najpierw Franciszka Rudnicka, później H. Ceysingerówna.

Stałą uczestniczką tych zebrań i dyskusji bywała dr. Ciszkiwiczowa.

Do sekcji „Koła” należeć mogli i mężczyźni. Należeli też w znacznej liczbie do Sekcji Tajnego Nauczania, będącej właściwie osobnym stowarzyszeniem, i do Sekcji społeczno-politycznej, która wytworzyła ideologię „Koła”.

Po paru latach pomyślnego rozwoju, wraz z różniczkowaniem się prądów politycznych i społecznych w całym kraju — zaznaczyły się w „Kole” znaczne rozbieżności poglądów.

Sekcja Pedagogiczna zwłaszcza poszła znacznie na lewo. Rozłam był nieunikniony i dokonał się, o ile sobie przypominam, w r. 1903-im.

Po rozłamie, większość, zachowująca nazwę Koła Kobiet Korony i Litwy, weszła organizacyjnie w skład Okręgu Warszawskiego Towarzystwa Oświaty Narodowej w osobach trzech sił kierowniczych: dr. Teresy Ciszkiwiczowej, Cecylii Śniegockiej i H. Ceysingerówny.

W tym stosunku organizacyjnym, zachowując zresztą zupełną sa-

modzielność wewnętrzną, Tajne Nauczanie przetrwało do r. 1906, w którym możność zakładania jawnych szkół prywatnych, z językiem wykładowym polskim, czyniła zbędną tajną organizację początkowego nauczania. Powstającej wtedy Polskiej Macierzy Szkolnej przekazano cały zorganizowany aparat szkolny: dzieci, przygotowane do wyższych oddziałów, nauczycielki wyszkolone i w wysokim stopniu ideowe, oraz bezcenny kapitał zdobytego w latach męki i walki zaufania i sympatii szerokich mas. Cyfrowo biorąc było to 2 tysiące dzieci i sto kilka nauczycielek.

Wydebyta nagle z podziemi, praca oświatowa zaimponowała od razu swoim rozmiarem i wyrobioną techniką.

To też szkoły Macierzy, dziecięckiej tej pracy, powstawały, jak grzyby po deszczu, i od razu w pełnym kształcie, z wyższymi klasami, co byłoby niemożliwe bez dłuższej pracy podziemnej.

Lat 12 trwało w Warszawie Tajne Nauczanie i dało w rezultacie kilkanaście tysięcy dzieci, wyrwanych, conajmniej z otchłani anal-

fabetyzmu, a często pchniętych na drogę średniego i wyższego wykształcenia. Dało niesłychane rozbudzenie dążności oświatowych w szerokich warstwach ludu warszawskiego, wyrobiło ideologię walki z najazdem i do pewnego stopnia dało do niej techniczne przygotowanie; przez stale urządzone zebrania rodzicielskie rozszerzając wpływ swój na dorosłych zapłodziło wiarą w Polskę tysiące.

Na zebraniach rodzicielskich Tajnego Nauczania narodził się „Narodowy Związek Robotniczy,” przekształcony dziś w „Narodową Partję Robotniczą.” Zebrania te dostarczały frekwentantów tajemnemu „Uniwersytetowi Ludowemu,” który stał się potem jednym z najpoważniejszych kół Polskiej Macierzy Szkolnej, one ułatwiły przeprowadzenie akcji bojkotu ludowej szkoły rosyjskiej... Ich uczestnicy szli ochoczko do więzień i na wygnanie za tajną propagandę idei niepodległości, tak, jak potem wychowawcy tajnych szkół szli do Legionów Polskich i za niepodległość Ojczyzny śmiercią bohaterską ginęli...

Wszystko się wiązało ze sobą, jedno wynikało z drugiego; ziarno rzucone raz ręką śmiałą i zdecydowaną, wydawało tysiączne plony.

Nauczanie Tajne było niewątpliwie jednym z najpoważniejszych czynników ówczesnego polskiego życia, a czynnik ten stworzyła i przez lat kilkanaście rozwijała i doskonaliła jedna, wielkiego, hetmańskiego ducha, niewiasta.

* * *

(c. d. n.)



KONGRES MIĘDZYNARODOWEJ RADY W WASZYNGTONIE

Od posłanki p. Marji Holder-Eggerowej, delegatki Rady Narodowej Polek na Kongres Waszyngtoński, otrzymujemy obszernie sprawozdanie, które w całości przytaczamy.

(przyj. red.)

W dniu 4 maja odbył się w Waszyngtonie VI Kongres Międzynarodowej Rady Kobiet. Praca przygotowawcza dla obecnego pięcioletnia w Waszyngtonie dokonana była na Zjeździe Komitetu Wykonawczego w Kopenhadze w maju 1924 roku z udziałem przedstawi-

cielki Polski, przewodniczącej Rady Narodowej Polek, sen. Józefy Szembeko. Na Kongres w Waszyngtonie Rada Narodowa wydelegowała pp. sen. Szembeko, posła M. Holder-Eggerową, skarbniczkę Rady panią, J. Makowiecką przedstawicielkę Komisji prasy i Propagandy R. N. oraz panią M. Wiześniową, działaczkę społeczną, chwilowo zamieszkałą dla studjów w New-Yorku.

Odległość miejsca Kongresu oraz koszty wielkie, związane z przejazdem, nie pozwoliły na uczestniczenie w delegacji większej

liczby członków Rady, chociaż miałyśmy prawo do 10-ciu delegatek. Wybór miejsca ważył się czas dłużej między Wiedniem, a Waszyngtonem; Nowy Świat zwyciężył. Dziwnym zbiegiem okoliczności różne Kongresy Międzynarodowe obrały sobie, jako miejsce narad, Stany Zjednoczone. W roku przeszłym w Waszyngtonie obradowała Liga Pokoju, w maju b. r. Kongres Międzynarodowej Rady Kobiet, w jesieni ma się tam odbyć Zjazd Unji Międzyparlamentarnej. Wywołało to pewne zaniepokojenie w niektórych sferach ame-

rykańskich, przeciwnym wpływom międzynarodowym oraz hasłom pacyfistycznym, głoszonym przez niektóre organizacje Starego Świata. Obawa przed propagandą na rzecz Ligi Narodów, przed chęcią narzucania Stanom Zjednoczonym tak powszechnych obecnie w Europie na terenie międzynarodowym hasła pacyfizmu i rozbrojenia narodów, znalazła swój wyraz w licznych głosach prasy amerykańskiej przed rozpoczęciem prac Kongresu i w czasie jego trwania. Najsilniej reagowały wszystkie patriotyczne organizacje kobiet, które uzależniły nawet dalszą przynależność swoją do Ameryk. Rady Narodowej Kobiet od wycofania rezolucji, omawiających rozbrojenie, i kwestję mniejszości narodowych, jako sprzecznych z ustawą Rady Międzynarodowej.

Dzięki temu protestowi treść tych rezolucji została odpowiednio zmodyfikowana. Po a r ó c ę do nich później. Na żądanie tychże organizacji wycofane zostały z Kongresu wszystkie broszurki propagandowe na rzecz Ligi Pokoju, które uległy nawet spaleni, a charakterystycznym jest fakt wycofania z literatury propagandowej, nagromadzonej w dużych ilościach na Kongresie, paktu Ligi Narodów! Świadczy to wymownie o nastrojach, jakie wśród większości opinii amerykańskiej panują w stosunku do Ligi Narodów. Kampanja, prowadzona cały czas trwania Kongresu przez prasę narodową, różne enuncjacje przedstawicieli organizacji patriotycznych, sarkastyczne uwagi w dziennikach, wytwarzały atmosferę nieprzychylną dla Rady Międzynarodowej. Zdaje się, że tendencja taka panowała nie tylko wśród organizacji społecznych i opinii publicznej, są pewne dane, świadczące o rezerwie, zachowanej przez Rząd amerykański w stosunku do Kongresu. Prezydent Coolidge, zaproszony na otwarcie Kongresu, odmówił przybycia, w zastępstwie jego przemówił minister Przemysłu i Handlu, Herbert Hoover, znany w Polsce z działalności filantropijnej w okresie wojny. Wprawdzie przyjął dwukrotnie przewodniczącą Rady Międzynarodowej, lady Aberdem aud Temair, i zaszczycił delegatki przyjęciem w Białym Domu, co również wywołało niezadowolone amerykańskie, gdyż w oficjalnym dniu przyjęcia proszona była Raga Amerykańska o zjawienie się następnego dnia, oczywiście w celu uniknięcia zbyt wielkiego natłoku; było to jednakże inaczej komentowane i wywołało głośny protest z powodu wyróżnienia cudzoziemek.

Wynosiło się wrażenie ogólne, że gdyby nie sprawa Ligi Narodów i związane z nią liczne rezolucje, dotyczące się rozbrojenia, propagandy Ligi Narodów i kwestja mniejszości narodowych, prace Kongresu, trzymane w ramach statutu, nie wkraczające w sprawy ogólnopolityczne i sprawy lokalne, dotyczące wewnętrznego życia narodów, nie spotykałyby się ze sprzeciwem i nie wywołałyby tych zgrzytów, jakie niemile się wyczuwało i z tonu prasy, i z zachowania się pewnych osób. Zaznaczyć należy, że na Komitecie Wykonawczym w maju ub. roku w Kopenhadze, przedstawicielka Polski, sen. Szebeko, zwracała uwagę na charakter polityczny tych rezolucji, sprzecznych ze statutem, wykluczającym wszelkie sprawy, mogące wywołać polityczne lub religijne spory w łonie Rady Międzynarodowej. Nieuwzględnienie tej słusznej uwagi świadczy o przeświadczeniu naszym, że Rada Międzynarodowa staje się ekspozyturą kobiecą Ligi Narodów, powołaną do realizowania przy pomocy organizacji Kobietych postulatów i hasła Ligi Narodów. Przystępując do właściwego sprawozdania z prac Kongresu, podkreślić muszę szczęśliwy wybór miejsca obrad, Waszyngtonu. O ile New-York preraża swoją potwornością drapaczy nieba, swoim wybitnym piętnem kosmopolityzmu, głównej siedziby amerykańskiego handlu i spekulacji wszechświatowych, o tyle Waszyngton robi wrażenie miasta nawskroś amerykańskiego, w którym obok wspaniałych i bogatych gmachów mieszczą się skromne, wąskie domki drewniane, zamieszkałe często przez czarnych. Miasto całe tonie w zieleni, wszystkie ulicy wysadzone drzewami, wspaniałe parki otaczają miasto, a ponad wszystkim góruje najwyższy pomnik świata, kolumna Waszyngtona, olbrzymi obelisk z białego marmuru, widoczny ze wszystkich stron miasta. Mniej szczęśliwy był natomiast wybór sali posiedzeń Kongresu, i tu dały się we znaki przybyłym delegatkom echa rozdźwięku, jaki zapanował między organizatorkami kongresu i organizacją patriotyczną, która w ostatniej chwili odmówiła swojej sali na posiedzenia, wobec tego wynajęto olbrzymią salę, mogącą pomieścić około 5000 osób w nowo wzniesionym gmachu Waszyngton — Auditorium. Sala ogromna, nieakustyczna, pozbawio-

na stolików i pulpitów dla słuchaczy, sale komisyjne, niewykończone, niewygodne, utrudniały i tak nużące bo 10 dni trwające prawie całodzienne obrady. Sala obrad, udekorowana sztandarami 40 państw które przysłały swoje delegatki. Miejsca w krzesłach każdej delegatki oznaczone małym sztandarem o barwach narodowych. Porządek obrad: od 9-ej rano do 12^{1/2} przed południem, po przerwie 1^{1/2} ra godzinnej dalszy ciąg obrad do 4^{1/2}. Godziny popołudniowe przeznaczone na różne oficjalne przyjęcia w różnych poselstwach, w Białym Domu u prezydenta, u Hoovera, p. Henderson, znanej filantropki i wielokrotnej miliardarki, w klubach różnych organizacji kobiecych i t. p. Zajmuje to masę czasu i po nużących obradach wcale nie bawij; trzeba jednakże wszędzie być, nieobecność delegacji każdej jest źle notowana. Wieczory również, wypełnione koncertami, akademjami, przedstawieniami; jeden wieczór jedynie pozostawiony delegacjom na bytność w swoich poselstwach. Tematy konferencji wieczornych, związane z pracami kongresu: 1) Praca komunalna. 2) Ćwiczenie się działaczy społecznych. 3) Postęp w prawodawstwie, dotyczącym się rodziny. 4) Wychowanie i duch międzynarodowy. 5) Międzynarodowy arbitraż i niebezpieczeństwo przed wojną. 6) Wpływ kobiety na pokój wszechświatowy i t. p. Część artystyczna koncertów: tańce i śpiewy miłosne i wojenne, trupy Indian autentycznych w barwnych strojach wojowników i tancerzy, pantomi na spacjalnie ułożona przez jedną z uczestniczek Kongresu, wystawiająca groźbę emilitaryzmu, wojny i jej następstw oraz apoteozująca pokój powszechny ludzkości. Jeden z wieczorów koncertowych przerwany był niemiłym incydentem. Miał śpiewać chór, złożony z 200 murzynów i murzynek, odznaczający się wybitnie pięknymi głosami i muzykalnością. W chwili odsłonięcia kurtyny zamiast chóru zjawiała się na scenie murzynka, jedna z uczestniczek Kongresu, delegatka organizacji czarnych kobiet, i wzburzoną głosem oznajmiła, że chór odmówił wykonania tego punktu programu wobec przykrości, jaka spotkała ich rodaków w chwili rozpoczęcia koncertu. Jak długo istnieć będzie segregacja czarnych, dzielenie społeczeństwa na uprzywilejowanych i krzywdzonych, tak długo nie można się spodziewać dobrych stosunków między czarnymi a białymi. Na znak protestu chór cały i wszyscy czarni, których skierowywano na galerję, opuścili salę. Przykre zdziwienie i zawód ogarnęły przybyłe delegacje.



W OJCZYŹNIE „LUDZI NORMALNYCH“

W kraju tytanów pióra: „Kosmicznych żeglarzy“ (Conrad), „najczystszych fanatyków katolicyzmu,“ przesyconych powszedniością (Chesterton) i, takich „którzy budują religię już bez wszelkich dogmatów“ (Hardy), i najczystszych satyryków z głębią humoru“ (Shaw), i największych na świecie krytyków, o których u siebie, w domu, mówimy tak samo dużo, jak o swoich własnych, w ojczyźnie tych wielkich „samotników“ współczesne pokolenie angielskie jest niewspółmiernie barbarzyńskie, „denierwująco“ zdrowe i aż do pychy zadowolone ze siebie.

Nie boję się powiedzieć, że w Warszawie częściej i głębiej zaczęła o literaturę angielską, niż właśnie tam u nich, na miejscu.

Monotonja, wegetacja, szarota polskiego życia!

Ależ to są brednie! Bije ono u nas tętnem niemal wulkanicznym. Rozszerza się, zataczając coraz większe kręgi. Bujnie rozrastają się wszystkie, wszystkie naraz aspiracje.

Tylko nam wciąż jest za mało, za mało...

Nie mamy oczywiście na codzień konkursów golf'u czy hockey'u, popisów tenisowych czy cricket'owych. Nie mamy owych, upiększających tak bardzo ich życie, kilkurazowych na dzień przebierań się. Ani pełnych namaszczenia i rytualnych przepisów wieczorowych Dinners. Ani codziennych, tak faworyzowanych five-o'clock-tea tylko w salonach, z filiżanką na kolanach i odpowiednią, jak na obstalunek, rozmówką o sportach. Nie, tak bajecznie kolorowego życia na „codzień“ nie mamy. Ha! trudno, w zaścianku Europy mieścimy się.

Zato czego innego pragną u nas, czemś innym nasycają się, każdy według swego upodobania, coraz szersze rzesze. Sztuka, aspiracje artystyczne, na ile kogo i w jakiej mierze stać — są u nas, jako chleb powszedni.

— W takim razie jesteście chyba bardzo nudni — mówi powoli piękna lady, spozierając z lubością na srebrne puchary, świeże trofea po jakimś matchu, to znowu na modne „angielskie“ manicure: zupełnie zcięte u palców paznogie.

Okazuje się... że te długie paznogie, normalnie wypielegnowane, zdradzają cudzoziemkę i to w gorszym gatunku (a więc rosjankę, polkę, czeszkę). Aby więc nie razić tła, trzeba jaknajprędzej zrobić śmiało cięcie

— W takim razie jesteście bardzo nudni — mówi ta, co wśród swoich za najciekawszą słynie — a kobieta, szczególnie powojenna, powinna za wszelką cenę wystrzegać się tego.

Patrzy na mnie z uśmiechem, z lekka mrużąc oczy. Ma mięć najwidoczniej za zwyczajne bas-bleu.

— Jesteście zresztą bardzo jeszcze młodemu państwem... Przeczulona egzaltacja — to tak, jak ząbkowanie. U nas — też tak kiedyś było! My jesteśmy zdrowi. Naprawdę bardzo zdrowi, pragniemy dużo ruchu. Żyjemy bardzo długo, wygodnie, a niefrasobliwie.

— I pani to wystarcza? — uśmiecham się z kolei, z lekka mrużąc oczy.

— Ależ najzupełniej! i proszę się nie trudzić. Ja naprawdę o niczym nie chcę wiedzieć. Nasi gentlemen chcą właśnie, byśmy były tylko takie: zdrowe, wygimnastykowane i niefrasobliwe. Zresztą po wojnie wciąż modne są obcięte włosy i tylko uśmiechnięte twarze.

— Mam obcięte włosy także... i wszystko da się pogodzić ze sobą — przeczy mi energicznym ruchem głowy. — Angielka powojenna to ruchliwa duża lalka, przejęta sportem, gałgankami (w pogoni za najdrobniejszymi szczegółami mody) lub urządzeniem najwykwintniej swego home'u. Za punkt honoru uważa — prześcignąć paryżanki i do ogólnoeuropejskich kanonów wprowadzić swe specyficzne najlepszego tonu (n. p. te paznogie).

Po za temi aspiracjami na północnej wyspie ogólne trenowanie się. I znowu ta Francja powojenna! (we wszystkim). Co się o niej myśli — to jest tajemnicą stanu. Na zewnątrz — ani mru-mru. Czasem tylko małe uśmiešky w kącikach ust nad tymi saligauds francuzami. Niestety, nazwiska zawodowych mistrzów Lenglen i Carpentier są o wszechświatowej sławie...



A więc „il faut faire bone mine, aux mauvais jeux“ nie ustępować, nie ustawać w pracy.

Sporty więc są chlebem powszednim, którego się łaknie, którym się nasyca każdy, ile może. Tyle na to, co „jest najważniejsze w życiu“, idzie czasu, że doprawdy nic już nie zostaje dla chudego ducha. Książki... No tak, wieczorami, na koniec, się czyta. Kiedy trzyma w ręku grubą, oprawną pięknie, a leciutką książkę, czyta się nawet bardzo, bardzo dużo.

W sitting-room, po wieczornym obiedzie, przy płonącym kominku, skupia się cała rodzina. Niewypada zapragnąć samotności lub ciszy. Tylko cudzoziemcy są tak niedelikatni, że nie chcą zrozumieć, na czym polega właściwie ideał angielskiego home'u! Wszyscy więc koniecznie muszą przez cały wieczór siedzieć razem i tylko w sitting-room. Do tego bowiem służy ten pokój i poto napalono w kominku.

Dzieci jeszcze nie śpią. Czworonożni faworyci przewracają się po kanapach. Młodzież popisuje się muzyką, to znowu gramofon gra najmodniejszego foxtrotta „Cat-Felix“, i wszyscy nuca zadowoleni.

Tak musi być co wieczór, jeśli się go spędza w domu. Sam master napawa się „Sporting'iem“, to wreszcie, ogarnięty jeszcze jednym, cichym obłędem, w skupieniu układa łamigłówkę.

„Cross-words“ — to modna epidemia, objęła wszystkich najzdrowszych synów trzeźwego Albjonu.

Oprócz „krzyżówki“ gazety dostarczają innych wdzięcznych rozrywek; co parę tygodni odbywają się ciekawe „competitions“ (konkursy) na tematy: Jakie przemysły w Anglii są niezbędne do podniesienia jej potęgi? Jakie przysłowia angielskie są najpopularniejsze? Jakie cechy charakteru powinna posiadać idealna kobieta (oczywiście angielska)? Jacy są faworyci angielskich filmów? itd. itd.

Coraz to nowe sitko na kołku. Można przytem wygrać 10, 50, 100 funtów sterlingów.

Rekord wzięła tej zimy młoda dziewczyna z fermy, która przed wyborami zgadła (oczywiście przypadkowo) ile mniej więcej miejsc w parlamencie będą miały po kolei wszystkie partje stronnice.

Otrzymała 1000 funtów. A mówiono, wynoszono ją, fotografowano przez cały miesiąc.

Pani domu co wieczora wertuje Vogue'a lub Tatler'a czy Sketch'a,

gdzie wszystkiego będzie miała bardzo mało, za to sukien, wizerunku sportsmenów, opisów ślubów wśród arystokracji—całe masy.

Z pośród gazet, najbardziej przez pleć piękną, nawet kulturalną (coprawda trochę się z tem kryją), jest faworyzowana brukowa gazeta „Daily Mirror“, owe Zwierciadło Dnia, odbijające wszystkie plotki, skandale i niesamowite historie z całej wyspy oraz wszystkich kolonji. Po czasopismach przyjdzie kolej na książki.

Jak już wspominałam, są tylko pięknie oprawne, opisują prawdziwe awantury arabskie, kończące się stale dobrze, i ważą tak mało. Umysł bynajmniej się nie wysiła na przeczytanie. Łyka się je po prostu, jak ostrygi, co wieczora—jedną.

Masami się produkują w Anglii takowe książeczki, a są, jak te puchy, co to wirują parę sekund przed naszymi oczyma i znikają kędyś bezpowrotnie.

Owszem, słyszałam kilka głosów, wołających rozpaczliwie na puszczy, nad orgją pisania byle „nowej“ książki, byle nowej, która to miano nosi chyba dlatego, że coraz inaczej się nazywa — i nosi inną sukienkę.

Kwestja stylu? —wśród tego rodzaju faworyzowanej lektury — niema wcale stylu! Pisz się tak, jak plotkuje.

Podczas czytania—dużo się rozmawia.

W każdym angielskim domu, przy kominku, obowiązkowo w wieczorowych toaletach, będą opowiadały sobie młode i stare ladies jedno i to samo. Wszystkie, w każdym domu, przy takich samych kominach, po takich samych obiadach, o tej samej porze...

Będą sobie opowiadały fascynujące nowiny, tyczące królewskiego dworu — następnie skończy się wszystko na sportach.

Bolączki? — czy też są jakie w tym wygodnickim świecie snobów? czy są po za konfliktem ze służbą domową? Polityka, obowiązki społeczne czy bodaj dobroczynne — zajmują się niemi tylko wyjątkowe jakieś osoby lub specjalistki. Ogół kobiet interesuje tem się bardzo mało — „wszak w państwie naszym wszystko jest tak obmyślane i racjonalnie urządzone, że my nie potrzebujemy o to się troszczyć“ — brzmi dziwna odpowiedź — „o! jeżeli wojna... to co innego“ lecz w czasie pokojowym każdy zajęty jest sobą“.

Czasem wśród pięknych pań usłyszy się literacką biesiadę:

— Co? — Hardy, Chesterton, Wells? — czy Galsworthy? — ależ kto by tam czytał tych starych

nudziarzy! Conrad?? no tak, oczywiście, zresztą trudny jest w czytaniu.

— Nie lubię go, — wtrąca z za krzyżówki nieproszony pan domu.

— Tak?, to ciekawe, czy mogę wiedzieć dlaczego?

— On dziwnie pisał, angielszczyzna jego była jednak... W nim coś... razi...

Englishman nie może się jakoś wysłowić.

— Wiem co, wstrętny snobie, wiem to doskonale. Nie możesz go całkowicie na swą stronę przekabacić. No tak, naturalizował się, stał się wielkim angielskim pisarzem, a jednak, och, a jednak...

Cóż się czyta głębszego — po za temi pustymi książkami, co się czyta na zielonej wyspie?

Najwybredniejsi są amatorami Kipling'a lub Jack'a London'a. Poza tem cieszą się popularnością Arnold Bennett, A. Hatchinson, W. Walpole, Robert Hichens, Sir Arthur Conen Dogle, Stephen Mc, Kenna i t. d. i t. d. Rabindranath-Tagore? — prawie nikt nic o nim nie wie. Owszem, ci, co przebywali podczas wojny w Indjach...

Zato ogromnie modym i faworyzowanym tej zimy był Compton Mackenzie.

„Because“... („dlatego że“... jak to podaje jedno eleganckie czasopismo) because, Compton ma pasję do skupywania wysp. Because... jest właścicielem wysepki Herm (jednej z Channel Islands) i posiada sam połowę Capri. Because... pochodzi ze znanej, arystokratycznej rodziny. Because jest rodzonym bratem słynnej gwiazdy kinowej Fay Conapton (odtwórczyni Rozalji z powieści „Taka to i wolność“. Hatchinson'a).

Najnowsza więc i najmodniejsza jego powieść „Coral“ ukazała się w odcinkach, właśnie na 25 lecie owego „Zwierciadła Dnia“ i była rozrywana.

Przeciętne niemądre romansidło: Coral, bogata jedynaczka jakiegoś przemysłowca, zakochuje się we własnym pięknym szoferze, Franku. (Szofer w Anglii, to pierwszy amant na scenie i w powieściach!) Okazało się, że Frank jest synem kochanki przemysłowca, wzgardzonej przez niego w młodości. Szofer, dowiedziawszy się o tem, na złość przez zemstę żeni się z bogatą panną w tajemnicy przed ojcem. Maltretowana po ślubie, Coral niczego się nie domyśla.

Pomimo rozmaitych perypetji i awantur — wszystko jednak kończy się względnie dobrze. Umiera tylko dziecko, jako ofiara nieporozumień młodej pary. Fakt ten otrzeźwia i wzrusza Frank'a — szofera. Nakoniec ojciec odszukuje

nieszczęśliwą swą córkę, przebacza jej mezaljans, zapisuje młodym ogromną fortunę — i odtąd już będzie szczęście i harmonja.

— Szkoda tylko, że to dziecko umarło, — mówi melancholijnie, po przeczytaniu książki, typowa angielska, — mógłby być je uzdrowić. Byłoby to naprawdę dobre dokończenie.

Ową „Coral“ czytałam także, oczywiście przy kominku i przy gramofonie. Bynajmniej nie przeszkadzał... Któregoś dnia wpadłam na biografię tego autora.

Byłabym jej zaniechała (coż z tego, że Compton jest właścicielem całej połowy Capri?) — gdyby nie następujący frazes: „Mackenzie is a great gramophon enthusiast and the instrument running all the time, he is at work“... To mię wzięło.

Oto sam auror przyznaje się, w jakich warunkach pisze swe powieści: „kiedy pracuję ciężko (hard), co się zdarza właściwie 11 miesięcy do roku, zasiadam codziennie zaraz po 5-tej pp. do wygodnego, a starego fotelu, gramofon gra przez cały czas mej pracy do 8 w. Obiad spożywam samotnie. Następnie powracam do mego fotelu pisania i gramofonu, który gra mi do 11 w. Od 11 do 2 w nocy gra pionola. Do łóżka idę koło 3-iej i jestem mocno zadowolony, jeżeli spłodziłem conajmniej 1.500 słów“.

Fenomenalne!! Łatwo zrozumieć czemu większość tych książek czytają doskonale przy akompaniamencie gramofonu!

„John o'London's weekly“ i „T. P. s“ to chyba jedyne czasopismo popularne, traktujące o ruchu literackim, oczywiście tylko swoim.

— Takbym chciała być tu u was choć raz w Shakespearowskim teatrze! — rzucam którego dnia znużona.

Zachcianka budzi zdumienie.

— Szakespeare? albo i Opera? któż po wojnie może mieć takie naiwne pragnienie.

— No to przynajmniej sztuki Golswortheg'ego, albo i Saint Joan — podejmuje uparcie.

— Bernard Shaw'a? — ależ to niesamowity dramaturg. Wcale się nie cieszy u nas powodzeniem. Podczas wojny zachowywał się tak dziwnie, nie brał żadnego udziału w czynnej akcji całego społeczeństwa...

— A oto widzicie, „Święta Joanna“ w naszym Polskim teatrze, — rozwijam szeroko odpowiedni numer któregoś naszego czasopisma z wyczerpującą krytyką i fotografiami tej wspaniałej sztuki.

Trochę uśmiechów.

— Tak? — gdzieżto? — niepewne zapytania.

— W Warszawie! — niemal krzyczę — u nas, w Warszawie?

Niebardzo mi wierzą.

O nas mgliste pojęcie. Poza kwestją polityki — krótkie sprawozdanie, depesze — niby z dalekiej „planety”. Wówczas, gdy każdy nasz sztubak czytał coś Walter-Scott’a, Dickens’a czy Byron’a — na zielonej wyspie nowoczesne pokolenie niema zielonego pojęcia o Sienkiewicz! Tegoroczne przyznanie nagrody Nobla przyjęte zostało niechętnie, z pewną dozą zdumienia. Kto? — Skąd? Dlaczego?... Większość gazet angielskich, urażonych za Hardy’ego, nie zabierała wcale w tej sprawie głosu. „Daily-News”, przeciwnie, gromił ostro sędziów stockholmskiego jury. W niektórych czasopismach napadano na Akademię szwedzką za niedocenywanie talentów rosyjskich.

Tak, rosjanie wciąż i wszędzie są modni.

O nas zaś głucho... i niewiadomo, jak długo tak będzie.

Jedynie Paderewski uznany jest za polaka i witany entuzjastycznie. Inne nazwiska o sławie wszechświatowej poddają się wnet pewnym wątpliwościom.

Na żaden język europejski przekład książek polskich nie przedstawia się chyba tak mizernie, jak właśnie na język angielski. Cóż tam mamy.

Kraśińskiego, trochę Mickiewicza, (III część Dziadów. Świtezianka) w przekładzie niejakiego Frank’a Fortey’a z Dublina, wielkiego zwolennika Mickiewicza, lecz zdaje się dyletanta.

Dalej w przekładzie: „Pożoga” Szczuckiej (zapewne dzięki zabiegom Conrada), „Igrzysko” — Leopolda Staffa, dramat w przekładzie Czarnomskiego no i, oczywiście, wkrótce ukazą się „Chłopi”.

Nie jestem pewną, lecz zdaje się, że na tem koniec, i wie o tych książkach zapewne malutka, najmniejsza garstka najbardziej kulturalnych osób.

Wszystko zaś, co z dziedziny sztuki zmusza widza choć trochę do wysiłku myślowego, zastanawia, troszeczkę niepokoi — wnet przez zdrowych ludzi zostaje odrzucone, jako coś chorego. Zato tak się wszyscy szczerze cieszą i zachwycają przeciętnymi widowiskami.



Oto cały szereg revues, musiehallów i sztucideł treści najbanalniejszej przesunął mi się tej zmy przed oczyma. Z trudnością mogę je sobie przypomnieć.

Sensacyjne, przeciętne roman-sidla, osnute na tle pospolitych zagadnień życiowych, owe iście Sherlock-holm’owskie przygody, zawiedzione pierwsze miłości, niebezpieczeństwa dla „białych” w Afryce południowej, owe awantury szczurów sutenerów i t. d. i. t. d. A wszystko takie dalekie od głębszych załamania się i zmagania ducha, od subtelniejszych powikłań życiowych.

Duszno się nieraz robiło, niespokojnie i ciasno przybyszowi z Polski na dalekiej, pięknej wyspie. Dusiły, uciskały niewidzialne pręty „normalnej” powszedniości.

Wszak muszą, muszą być napewno w tym mrowisku przeciętności tysiące ludzi innych, dla których po wojnie nie jest najważniejsze: uśmiechnięte tylko twarze, krótko obcięte włosy, książki, kończące się wesoło, i trenowanie ciała?

Poza moimi domownikami, przez kilka miesięcy nie danem mi było spotkać tej zimy kogoś...

— A.. przyjechała już pani, no i co? — wita mię każdy.

— No i nic, doprawdy nic.

KAROLINA BIELAŃSKA

1

CONRAD O KSIĘCIU ROMANIE SANGUSZCE

Dziwna jest niekonsekwencja polskiej natury! Ile to było skarg nad istotnie ubolewania godnym faktem, że wielki pisarz angielski, Polak z rodu, nie poruszał w swych, za życia wydanych utworach, tematów polskich. A kiedy w pośmiertnym wydaniu ukazało się opowiadanie o dziejach polskich osnute, patriotycznym tchnące sentymentem, nikt się tak bardzo nie wzruszył. Recenzje podały treść „noweli” tak, jakby jej fabuła była wyssana z palca, choć już angielski przedmówca robi uwagę, że „ciekawa historia” the curious story, o „księciu Romanie” jest „bezwątpienia” wysnuta ze wspomnień osobistych autora, o czem świadczą intymne szczegóły tła, na którym ukazał się bohater dziecinny oczom opowiadającego, a opowiadającym jest „bezwątpienia” sam: Józef Konrad Korzeniowski!

Zdaje się nikt dotąd nie opowiedział cudzoziemcom, że „curious story” jest historją, znaną każdemu polskiemu dziecku (dawniej, bo teraz kto wie?), że dumne tak bardzo „conradowskie” słowa „z p r e k o n a n i a,” przeszły istotnie do dewizy herbowej zacnego polskiego rodu i że bodaj w komentarzu do noweli, godzi się nazwisko księcia Romana S. — pełnemi napisać literami.

A powinno się cieszyć nasze polskie serce, że syn polskiego narodu, chcąc dla obcych ludzi odmalować postać heroiczną: „zdolną bardziej, niż inni, do wiary nie-

zachwianej, siły uczucia najwyższej i miłości bez granic” nie potrzebował uciekać w kraj fantazji. Wystarczyło mu pójść w kraj wspomnień.

Spojrzały nań widziane w dzieciństwie a niezapomniane spokojne, ciemne oczy starego pana.

I opowiedział poprostu i wiernie „to, co słyszał” co mu jego wuj, Tadeusz Bobrowski, opowiadał ongiś o życiu swego starego czci-goonego sąsiada: księcia Romana Sanguszki.

A kiedy pisał, zmartwychwstawał w jego duszy czar kraju i nie-uświadomiona nawet tęsknota za nim starzejącego się już człowieka. Łuk życia, jak to często bywa, zbliża koniec do początku. Kwintesencję swego ideału wyhodowanego, zda się, na morzach, nieujarzmionych i łąkach dalekich odnalazł Conrad w człowieku, wyrosłym

*) „Prince Roman,” opowiadanie wydane w zbiorze pośmiertnym czterech nowel, p. t. Tales of Hearsay „Rzeczy słyszane” (str. 191—253). Londyn—Fisher Ulvin — 1825. Z przedmową p. Cummingham - Greham.

z tej samej, co on, gleby, z ziemi, od smutku której uciekł niegdyś z duszą zbuntowaną, a teraz wyznawał, że „powinno się ją kochać inaczej, jak każdy inny kraj na świecie,“ i że miłość ta dała siłę bohaterowi jego do stawienia czoła najcięższemu bodaj losowi — „z przekonania.“

Może i dlatego pozostała „ciekawka historia“ w tece autora, ponieważ o zbyt bolesne potraciła struny!*)

* * *

Autor przedmowy zaznacza fakt, który jemu samemu może dziwnym się wydaje, że Conrad mało lub wcale prawie nie mówił w swych pismach o swoim kraju i przypisuje to wielkiej powściągliwości zamkniętego w sobie charakteru, który nie lubił mówić o tem, co go boli. Że uczucie patriotyzmu było silne w jego duszy, świadczy, zdaniem Anglika, rzeczona opowieść, gdzie wybuchło ono, „jak wulkan.“ Żadrgała również w kilku suchych, ironicznych zdaniach, zastanawiająca u człowieka tak opanowanego, nienawiść [do Rosji, a jeszcze większy wstręt do hipokryzji Europy, darzącej banalną litością naród, nad którym los twarde Vae Victis wypowiedział, naród, który, zabijany, trwa wciąż żywy w swym grobie**), naród, który! dlatego, że nie umiał podle kalkulować, dostał przydomek Nieoprawnego!

„Patriotyzm—mówi Conrad z gorącością — uważany jest przez humanitarystów naszych za przeżytek czasów barbarzyńskich... Bo żeby ocenić patriotyzm, należy mieć pewną wzniosłość duszy i szczerłość, której właśnie brak pospolitemu wyrefinowaniu dzisiejszej myśli ludzkiej, niezdolnej do zrozumienia dostojnej prostoty tego uczucia.“

— „Wulgar refinement,“ jak to dobrze powiedziane — woła przedmówca. — My wszyscy dusiliśmy się w tej atmosferze. Jak ciężko musiało w niej być żyć Conradowi, mimo całego jego stoicyzmu!“

* * *

Takie wrażenie zrobiła na cudzoziemcu opowieść o księciu Romanie, którą możnaby nazwać: Powieścią o Duszy Polskiej.

...a cześć dla cichych, a wielkich w Polsce dusz za wszystko na szerokości ziemskiej starczy.

„Rzadko to, rzadko!

„Jako na zamku rozpustnym trafia się skarb w martwej i głuchej ścianie zamurowany, tak jest z Polski cudnymi duszami. A skarb, zamurowany, o, cudzoziemcze, za wartość zamku często stokrót starczy.“

Te słowa Żeromskiego mogły stać jako motto opowieści Conrada.

* * *

Osiem lat miał Konrad Korzeniowski, gdy pewnego zimowego wieczoru, płaszcząc nosk o szybę wielkiego przedpokoju w starym dworze swego wuja zobaczył wjeżdżającą na ośnieżony dziedzińiec sześciokonną landarę, poprzedzoną przez jeźdźca z kagańcem, osadzonym na długiej tyce i rzucającym czerwone blaski na pułszy, skrzący śnieg. Dzieciak wiedział, że przyjeżdża—książę. Słowo to rozbudziło jego fantazję. „W bajkach każdy książe był młody, piękny, waleczny i szczęściem promieniący.“ Stropił się więc, gdy następnego dnia rankiem ujrzał u boku wuja owego gościa, którego napróżno starał się dojrzeć ubiegłego wieczoru, i zobaczył, że był to człowiek szcypły, siwy, prawie łysy, w wysoko zapiętym czarnym surducie, trzymający się prosto z żołnierską sztywnością. Wysoki kołnierz, szyja, owinięta białym muślinowym krawatem, wygolona gładko twarz.

„Twarz, która musiała być za młodu bardzo piękna, zachowała

*) Conrad przygotowywał do druku te, w różnych czasach napisane, nowele; gdy go śmierć zaskoczyła, sam nadał im tytuł: „Rzeczy słyszanych.“

**) Pisane w roku 1911.

H. HEINE

Z „Nowej Wiosny“

ERNST IST FRUHLING, SEINE TRAUME.

*Smętna jest wiosna, w jej marzeniach
Jest smutek, każdy kwiat się zda
Dygotać z bólu, nawet w pieniach
Słowika tajna boleść drga.*

*O, nie uśmiechaj się tak mile
Ty, moja piękna, nie śmieję się!
O, zapłacz raczej! Z twego lica
Tak chętniebym zcałował łzę!*

spolszczyła IDA WIENIEWSKA

i w podeszłym wieku harmonijną prostotą linii. Co najbardziej uderzyło mnie, to śmiertelna jej bladeść. Wydał mi się niesłychanie stary... Ze słabym uśmiechem, który przemknął po cienkich wargach, spojrzął na rumieniec mego zakłopotania.

Wąską, pomarszczoną ręką—ręka była starsza od twarzy—pogłaskał mnie po twarzy i położył mi ją zlekka na głowie.

Głos bezdźwięczny, tak bezbarwny, jak jego twarz, dobył się z zakłęsłych warg, podczas gdy oczy, spokojne i ciemne, spoglądały na mnie z dobrocią:

— „Ileż ma lat ten nieśmiały chłopczek?“

„Wuj napisał ołówkiem na bloczku cyfrę, wyrażającą mój wiek, i podał ją księciu. Byłem bardzo przejęty. Cóż to za ceremonia! Czy ten człowiek był za wielki, aby z nim mówiono? Spojrzął na papier, skinął głową i znów dał się słyszeć ten nieosobisty mechaniczny głos:— „Podobny do swego dziadka.“

„Tak, tak. Kolega z 31 roku... Stare dzieje, panie kochany, stare dzieje.“

Uczył ruch, jakby chciał odegnać natrętą myśl. I znów on i wuj patrzyli na mnie...

Wuj dostrzegł zapytanie w moich okragłych zdziwionych oczach. „Zupełnie głuchy“, szepnął. I znów ten nieosobowy głos rzekł: „Daj mi rękę.“

Przeszyła mi świadomość poplamionych atramentem palców. Wyciągnąłem je z nieśmiałością. Nie znałem przedtem nigdy osoby głuchej i byłem stropiony. On ścisnął mnie mocno za rękę i znowu pogłaskał po głowie.

Wuj zwrócił się do mnie poważnie:

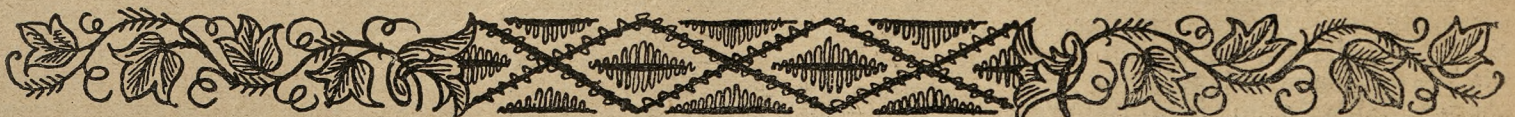
— „Uścisnąłeś rękę księcia Romana S... Powinieneś zapamiętać to sobie na całe życie.“

Ton, jakim wypowiedział te słowa, przejął mnie...“

Ale bardziej jeszcze wzruszyło dziecinne serce rozwianie się czaru bajki. Oto pierwszy książe, którego zobaczył, był głuchy, siwy, chudy i tak strasznie stary!

Później dopiero dowiedział się Konrad, że człowiek, który wzbudził w nim cześć i rozczarowanie, był niegdyś młodym, pięknym, niewymownie szczęśliwym. Tylko, że to szczęście nie trwało tak, jak w bajkach czarodziejskich, na wieki wieków!

* * * (c. d. n.)



MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

ŚWIEKRA I SYNOWA

(Współczesne)

Wiatr kwietniowy gwałcił niebie ciężkie, deszczowe chmury; raptem udało mu się je rozedrzeć — i wielkie słońce buchnęło do pokoju, zapalając, gdzie się dało, tęcze i iskry. Wszyscy nagle poweseleli... jednym w oka mgnieniu ciężar życia zmniejszył się do połowy — a drugim szczęście urosło do nieba. „Ach, wiosno moja!” zawołał Waclaw, otwierając żonie ramiona — Ona z wielkim wdziękiem podała mu usta, zdaleka. Matka uśmiechnęła się do nich życzliwie; Powstali od stołu, aby przejść do salonu, gdzie odklejano właśnie drzwi perapetowe do ogrodu. Młoda pani miała zadziwiającą na swój wiek znajomość życia. Wiedziała, że nic tak nie utrzymuje w odległości tych, których nie chcemy blisko do siebie przypuścić, jak wielka grzeczność. Traktowała więc matkę, jak bardzo dostojnego, etykietałnego gościa (wskazówka do bywania jaknajrzadziej...) — idąc obok niej, podbiegała do każdych drzwi i z przesadną atencją otwierała je przed nią — na dwóch schodkach gabinetu podparła jej łokieć, jak celebrantowi przy procesji. Drzwi do ogrodu były już otwarte, wiatr miotał firankami w oknach — wróble na kamieniach tarasu ćwierkały i kotłowały się w ciepłej smudze białego światła. Ach, „fijołki” zawołał Waclaw, chwytając nozdrzami powietrze... i pobiegł, jak żak rozochocony, bez kapelusza na trawniki, które były niemi tak zawsze plenne. Matka uśmiechnęła się do wspomnień... Ilek wio sen przewinęło się błyskawicznie na filmie jej pamięci... zawsze, jak dziś, za pierwszym drzwiami otwarciem biegł w ogród i przynosił jej na dłoni pierwsze fijołki. Dwie teraz stały w progu: żona w liljowych muślinach, taka wiosenna i matka w czarnej sukni, taka żalonna. Odruchowo już zwracał się ku matce — ale żona popatrzyła w oczy tak twardo, że ręka momentalnie zmieniła kierunek: pierwsze fijołki tegoroczne dostała młoda pani. Czarna suknia nabrała czarności o jeden ton grubszej... Syn doznał ukłócia w serce — humor jego zgasł w tej chwili. „Jadę”, rzekł do kobiet — „do pacjenta o kilka stacji”. Uderzył się rękami

po kieszeniach i wyjął kluczyki. Zawsze zostawiał je matce, komu je teraz powierzy? — zawahał się widocznie... ale wszak matka w domu u niego teraz nie mieszka?... oddał je żonie. Młoda, wysoko podniósłszy je sobie nad głowę, zadzwoniła nimi wesoło i obrzuciła triumfującym wzrokiem pobitą na wszystkich punktach. „Przepraszam”, szepnął Cień bardzo czarny, w pół zgięty, przemykając się obok liljowych mgielek do ogrodu. Syn uczył w serce powtórne ukłócie...

„Ja tu już jutro nie przyjdę” — postanawiała — „będę się tylko tylną furtką wkradać do ogrodu”.

Waclaw tymczasem jechał autodem — był zły i myślał: Jakie te kobiety są dziecinne. Taka mądra nawet, jak moja matka: fijołki, kluczyki oto masz ich dramaty, ich zwyczajstwa — wzruszył ramionami. Umysł kobiecy jest, jak te dziczki, które polne grusze rodzą — nigdy nie dojrzewa, zawsze zielony i cierpki.

Alboż chodziło tutaj o fijołki i o kluczyki? Te drobnostki były to widome znaki niewidomych stanów serca.

Życie rzadko kiedy daje nam okazje do wielkich manifestacji uczucia — ale drobne decydują o wielkich. Gdyby teraz te dwie kobiety znalazły się razem w płomieniach — gdyby razem tonęły — którą najpierw rzuciłby się ratować? Tę, której oddał fijołki i kluczyki. To jest symboliczne... „To takie naturalne! to takie słuszne!” szeptał czarny Cień pograżając się w cieniach ogrodu.

Ale to naturalne i to słuszne boli!

Po całym dniu — wedle programu — spędzonym u siebie, Sielicka już o szóstej zrana zatrzasnęła drzwi mu swego mieszkania z zaboronną trwogą: „Gdziebądź!... gdziebądź — byle nie tutaj!” popędzała sama siebie — a ręce jej się trzęsły — wszystko zawieruszała — do niczego nie mogła trafić — nie zdolna była ani się ubrać, ani klucza w zamku przekręcić. „W tych pokojach czeka mię ob-

łąd”. Gdzież pójść o szóstej zrana? poszła do kościoła. Oczy jej z ulgą spoczęły na Ukrzyżowanym, ale wobec Jego męki rozpamiętywała mękę tylko swoją, nie mogąc od niej oderwać myśli swej ukrzyżowanej. O, ten dzień wczorajszy! jużby drugiego takiego nie wytrzymała! Stało się coś nadnaturalnego, przerażającego: czas stanął. Czego ona nie robiła! czytała, grała, pisała, porządkowała, szyla... Gdy kalkulowała, że powinnyby już upłynąć conajmniej dwie godziny, podnosiła oczy na zegar — a zegarowe wskazówki posunęły się o pięć minut — i zimny pot ją oblewał.

Więc dzisiaj powlekła się znów do dzieci, o siódmej, przez kuchnię. Ale już tym razem, nauce doświadczeniem, zdobyło się na chytrą gołębie — umyśliła nie ją wyręczać, lecz służyć. Cały obiad sama ugotowała, a kucharka tymczasem, upudrowawszy się i wysmarowawszy usta, że wyglądały, jak pomidor, cały ranek gdzieś latała. Za pokojówkę pozmywała naczynia i poczyściła ubiwanie. Sługi mrugnęły na siebie; wiedziały doskonale, jakie na pokojach panują nastroje, postanowiły „nie dać pani starszej”, zbyt wiele miały z niej wygody. Czegóż w domu nie przeprowadzi służba, gdy się uweźmie? która pani oprze się jej insynuacjom? Poważnie, jak nowy premier ze swoim exposé, stanęła przed młodą kucharką Anetą i prawiła: „Bo to naszemu panu jedna pani starsza umie dogodzić w jedzeniu. Jest bardzo grymaśny, a jak mu nie utrafić, to robi się zły”... Pani Janina zamrugowała szybko powiekami, znała dobrze z domowego pożycia rodziców te męskie niehumory żołądkowego pochodzenia. „Bez pani starszej to ona (Aneta) się odprawia... chyba, żeby pani przyjęła jakąś uczoną gospodynię?” Janina praktycznym swoim rozumem oceniła te wszystkie pozycje pierwszej wagi, które na front wysunęła sprytna dziewczyna, rzekła więc tylko: „Już dobrze, Aneto” — porozumiały się! Bardzo wrażliwa na punkcie wydatków, nie miała najmniejszej ochoty ani najmować gospodyni,

ani samej pitrasić dla męża obiadów — postanowiła tolerować matkę w kuchni. Biedactwo, ani się spodziewała, że zapadł już wyrok, taki dla niej pożądany! Siedziała w kuchni, jak mysz na pudle, wzdrygając się za każdym otwarciem... Spodziewała się co moment, że wejdzie tu majestatyczna synowa i, z oddaniem jej najwyższych respektów, wyrzuci ją stąd! Tymczasem synowa ukazała się z twarzą łaskawą — udała zdumienie, że ją tu spotyka i reześniała się na całe gardło: „Już to widać wszystkie mamy są do siebie podobne — moja matka także wiecznie w kuchni siedzi; co prawda nie rozumiem tego upo-

dobania, ale skoro to paniom sprawa rozrywkę, cóż sobie macie żałować?!“ Sielicka aż siadła, bo nogi się pod nią ugiwały i ręce się trzęsły: była ocalona! — wolno jej tutaj przebywać. Ach, przecież ta kuchnia — to jeszcze kawałeczek jej domu, i ona



M A R J A D A B R O W S K A

TYDZIEŃ W LUBELSKIM

POŻEGNANIE Z FRAMPOLEM.

Ostatni dzień naszego pobytu był bardzo pracowity. Trzy razy chodziliśmy do Pana Oleszka po pomarańcze, które miały właśnie nadjechać z Biłgoraja. Tymczasem wciąż nie nadjeżdżały. Wobec tego poszliśmy do Świszcza, do naszego kochanego przyjaciela Świszcza, który ma wrzonego konia, syna, kąpiącego wszystko w podwórzu, ładną żonę, tkającą płótno, i koralową begonję w oknie. U niego zamówimy konie. Czy mógłby nas odwozić kto inny?

Ponieważ, chcąc jechać do kolei, musiałybyśmy wyjechać z Frampola o pierwszej w nocy, przeto postanowiono jechać końmi, a raczej koniem do Zamościa. Wracając od Świszcza, zobaczyliśmy w cienistej uliczce ogród zadrzewiony, dom obrosnięty grubo dzikiem winem i kwitnący agapantus w oknie. — Zaczęliśmy się przypatrywać i radować się temu widokowi. Z głębi ogródka wyszedł starzec, który zaprosił nas do środka. W domu było prawie zupełnie ciemno z powodu dzikiego wina. Pokój był zastawiony meblami o białych pokrowcach. Na komodzie stał wypchany perkoz. Obydwie z Wandą ucieszyliśmy się na ten widok.

Tego samego dnia przy obiedzie dowiedziałyśmy się jeszcze paru szczegółów o życiu Frampola i okolicy. Naprzykład, że poseł tutejszy na sejm należy do skrajnej lewicy — i że szerzy się tu wszędzie Kościół Narodowy, propagowany przez ro-

dziny tych, którzy stąd wyszli do Ameryki. Po obiedzie poszłam narysować domki na rynku; wyszło okropnie. Następnie poszliśmy się pożegnać z nowymi znajomymi, szalenie miłymi ludźmi, jak zwykle znajomi, spotkani w podróży. Byli to państwo Gołaszewscy, dyrektorostwo gimnazjum oraz ich córeczka, wdzięczna Halinka.

Halinka w początkach znajomości na wszystkie pytania odpowiadała:

„Wstydzę się“ — lecz po pewnym czasie oddała nam swoje trzyletnie serce bez zastrzeżeń.

Bardzo to umiemy ocenić i zachowamy długo w pamięci tę niezastężoną przyjaźń.

Wieczorem państwo Gołaszewscy byli tak szalenie dobrzy, że jeszcze raz do nas przyszli — a z nimi jeden z nauczycieli tutejszego gimnazjum. Myśmy były naładowane elektrycznymi wprost myślami o potrzebach prowincji, regionalizmie — o tem, co Warszawa może dać Frampolowi, a Frampol okolicy. Lecz nie dało się o tem mówić. Naszych gości interesowały wiadomości o sławnym warszawskim medjum. Cały czas mówiliśmy tedy o zjawach. Dowiedziałyśmy się też, że po tutejszych wzgórzach tacza się wieczorami świecąca kula — szczególnie w październiku. Nauczyciele są jedynymi ludźmi z inteligencji w tej osadzie. I tak sobie śród jej ciszy dumają o rzeczach dalekich.

Po odejściu miłych gości i obietnicach zobaczenia się jeszcze kiedy, przyszła Sajowa, mówiąc, że

pamięta lepsze czasy... widywała ją codziennie szczęśliwą, proste jej sprzęty są to starzy znajomi — ten nade wszystko pocziwy stary zegar z okrągłym jowialnym obliczem. Po dawnemu będzie na nim wypatrywać: „jak prędko pan wróci? czy jeszcze poczekać z omletem“? Przecież tu jest daleko weselej i milej, niż w tem jej mieszkaniu eleganckim, jak grób elegancki, które czuć świeżym pokostem, jak nową trumnę. W łazience urządziła sobie pied à terre, stanął tu stolik do jadań i roboty, z góry znieść kazała stary szezlong o jednej nodze — kupiła kilka kwitnących doniczek — i rozplakała się ze szczęścia... (c. d. n.)

Oleszek przyjechał z Biłgoraja i przywiózł leżak. — Natomiast nie przywiózł pomarańczy. — Byłyśmy bardzo przejęte tym „przyjazdem kupca“ — i sprowadzeniem leżaka. Wanda natychmiast wyszła, żeby dokonać niezwyklej we Frampolu transakcji handlowej. Jeszcze tego samego wieczoru po jej powrocie dowiedziałyśmy się nadto, że w lasach znaleziono kryjówkę znanego rabusia tych stron. Odkryto go dzięki kochance, która przyszła do Frampola do apteki po lekarstwo dla niego, gdy leżał w borze, raniony przez policję. Policja poszła jej tropem — a osaczony bandyta zastrzelił się.

Po niejakej chwili przyszła nowa wiadomość, że to nieprawda. Rabuś żyje i dalej się ukrywa.

Pełne wrażeń, poszliśmy spać.

W nocy obudził nas szum deszczu. — Ulewa trwała prawie dwie godziny, niecąc smutne przecucia co do podróży.

Tymczasem dzień zrobił się cudownie piękny.

O siódmej odjechałyśmy wronym konikiem Świszcza, dziękując z serca za gościnę.

Minęłyśmy niebieskie domki z podcieniami, siedzibę pracowitych Kraków, Miazgów, Dudków i Sajów. Minęłyśmy olbrzymie żorawie, drapiące niebo, ulice, leżące mięko i cicho pod orzechowym cieniem — piwonje i orliki, wyglądające z za płotu — staroświeckie bramy ślicznej roboty, rozparte pod gontowym daszkiem.

I z pod lipy, stojącej na rozstaju, wyjechałyśmy w opite nocnym deszczem pola — na gładziutką, zawianą szafirowym powietrzem, szczebrzeską drogę.

SZCZEBRZESZYN I ZAMOŚĆ.

Z Frampola do Zamościa jedzie się na Szcebrzeszyn. Pierwsze dwadzieścia dwie wiorsty przebywamy boczną drogą — bardzo dobrą. Daleko lepszą, niż ze Zwierzyńca do Frampola. Dobrą nie tylko z natury — grunty są tu inne, ciemniejsze i nie tak twardejące na słońcu, ale dobrą i przez staranie ludzi, szczególnie na terenie olbrzymiej wsi, Gorajca, widać pieczę o tę drogę. — Wcale tu inaczej, niż w ordynackim lesie. Wszystkie doły pilnie ponasypywane rozkruszoną i zwałowaną darnią, brzegi drogi powzmacniane faszynami. Wieś Gorajca jest wogóle piękna, bogata, starożytna. Na ziemiach, gdzie przebywa się nieraz tak duże przestrzenie, pełne opuszczenia i zatrzymania, tu miło widzieć na każdym kroku ślad rasowej, rzetelnej pracy i niewyszukanego, ale dbałego kultury. — Na rowach, obok berberysu i głogu świeżo posadzono brzezinę i czeresnie. Czyste bładoniebieskie cha-

ty siedzą w ozdobnych krzakach dzikiej róży i wszechwładnej piwonji albo pod lipą.

Przejeżdżając przez tę rozległą wieś, spotkałyśmy wasząkę, przy którym stał młody chłop nadludzkiego wzrostu i niepospolitej urody, odziany w białą parciankę lubelską. Głowę miał odkrytą, włosy czarne i lśniące, twarz śniadą, wąs kozaczy, oczy smoliste. Stał na rozmowie z drugim, wspomniały i niesamowity, jak osoba z baśni, a w każdym razie z innych czasów. — Po niejaki chwili, gdyśmy odjechali dosyć daleko, Świszcz obrócił się do nas i, zwolniwszy jazdy, zaszeptał:



— To jest najwyższy człowiek na całym powiecie Zamojski. Jak biskup przyjechał do Frampola, to on był na obiedzie.

Zamanifestowałyśmy należyty podziw.

Piękny olbrzym nazywa się Gruszczyk z Gorajca.

Oprócz niego widziałyśmy w Gorajcu jedną osobliwość — koty z obciętyimi ogonami.

Za Gorajcem okolica zaczyna być pełna tego udzielającego się czaru, który nie wiadomo czemu przypisać. Zieleni staje się coraz różnorodniejsza. Po bokach gliniastej drogi wspaniałe jary są wypełnione wiązem, olszyną, naprzemian dębem, sosną, gdzieniegdzie bukiem. — Rozległa pawia przestrzeń mieni się na pogodzie: to blednie, to ciemnieje. Widnokreśli są pełne cienistych zapadnięć gruntu i złotych jego wyniesień.

To znowu przestrzeń ginie, a wasząkę brnie dnem parowu. Wyssokie brzegi są zarośnięte cudną i różnorodną krzewiną, a przy ziemi okryte smółkami i poziomką. Poziomki są już prawie dojrzałe.

To znów szerzą się naokoło pola, gdzie ludzie redlą kartofle, odziani w płótno, takie same, jak przed wiekami, a w słońcu wybielone.

(c. d. n)

MARJA - JEHANNE WIELOPOLSKA

DWADZIEŚCIA PIĘĆ JEDENAŚCIE

(Romans)

4

— Dlaczego ziębi? (Namiętnie, nerwowo) Czasem to słowo może przecież oznaczać ostatni dzień smutku, ostatni moment rozłąki, ostatnią chwilę cierpienia... Nie zawsze dźwięk słowa ostatni jest dźwiękiem rozpaczli! O, mała, o miła, chora Infantko! niech cię nie ziębi, cokolwiek rzekłem kiedy nieudolnie czy rzeknę!

— (Nagle) Czy pan wie, że pojutrze jest 25-ty listopada?

— (Niechętnie) To i cóż!

— Pan mnie nakierował na drogę liczb. Dzień pojutrzejszy nosi datę: dwadzieścia pięć jedenaście. Liczba pańskiego telefonu, liczba, która nas połączyła kabalistycznie, jak stulą...

— (Olsniony) ...jak stulą... To jest dla mnie, niech mi pani wierzy, liczba najradośniejsza i, sądzę, że nie przestanie mi nią być. Jest pewna skrupulatna wierność liczb. Oczekuję tedy wielkiej, fenomenal-

nej radości, Infantko, radości wzmożonej do n potęgi, pojutrze!

— ...po...ju...trze...

(Trrrr, trrrr)

ROZMOWA VIII.

— Tak, dwadzieścia pięć jedenaście. Liczba najszczęśliwsza, najsłoneczniejsza, liczba prawie że złotowłosa!!! Możeby tak, w wigilję dnia 25, 11 go, najpiękniejszego dnia, opowiedzieć choremu dziecku historię pewnej białej szramy na ciemnej twarzy. Czy je to zajmie wogóle....?

— (Głosem nikłym i dalekim). Zajmie goraco.

— To nie było zbyt dawno temu. Mieszkał podówczas Berber pewien, Fuad, w swoim kraju, w nieznanym, infantkom kraju, upalnym, barwnym aż do osłepienia. Jak wszyscy krajowcy, żył życiem leniwym, karmio-

ny słodkim chlebem z bananów tak białym, jak w Polsce śnieg, i surowym mięsem z papug czy kolibrów. Nie czuł tęsknoty do Europy, którą znał dobrze, nie czuł przynależności częściowej do ras białej. Była mu obcą i obojętną. Tak mu się przynajmniej zdawało. Żył w patryarchalnej zgodzie ze szczepami sąsiadów, z ich wodzami i królami, aż dnia jednego doniesiono mu, że król Atutów, Abua, więzi białą dziewczynę. Coś drgnęło w nim. Czerwone ognie, zagaszone przez kulturę europejską, przeleciały mu pod powiekami. Opetalo go rycerskie pożądanie odbicia dziewczyny, ale także i wściekłe pożądanie jej samej. Żył w celibacie, nie spozryzał na murzynkę. Widocznie głucho w nim drzemała rozpaczna tęsknota do białej kobiety. Zażądał najbezczelniej od Abuy wydania tej dziewczyny, a gdy Abua odmówił, zwołał Berber swo-

ich wojowników, wystrzył noże na poświęcanym kamieniu i — ruszył. W noc parną, w noc, rozedrganą łoskotem pobliskiej dżungli i pękających od żaru drzew, do Adiakru, do stolicy Atutów. Wyciął w pień ludy króla Abuy nieliczne i już podnosił szeleszczącą matę, za którą był sługosy harem króla Abuy, gdy wyszedł syn tego króla. Starli się. Fuad i on, w poświęcanej gwiazdzistej nocy afrykańskiej, jak tygrysy. Tygrysy im też zapewne wtórowały w dżungli. Cięli się nożami na krzyż, na płask, z furją krwawą. Wiadomo było Fuadowi, że białą dziewczynę chował król Abua dla swego jedynego syna. Faud dostał przez twarz, od prawej skroni aż po lewy policzek, cięcie noża prawie śmiertelne, a syn króla Abuy poległ, dogryziony przez Fuadowego psa... (Z gatunku shuoghi był ten pies)... Gdy się to stało, Fuad kazał zaświecić pochodnie i uchylił matę, za którą skowyczały wrzaskliwe kobiety króla Abuy.

Niecierpliwy był, młody, drżący z bólu i pożądania, z twarzą, zalaną krwią. Zobaczył, że wokół stoją w namiocie czarne, jak noc, murzynki, a pośrodku... pośrodku... pani Ewo! jaka straszliwa, niezapomniana zjawa! Pośrodku oto stała także murzynka z nosem, rozplaszczonym, jak inne, z wargami, wywinętymi, jak inne, z krótką, kędzierzawą szczecina nad czołem, jak inne, *ale cialo miała białe*. Dziwna, nie dająca się określić, wstrętem przejmująca, umarła, galaretowata białość. Limfowata białość ektoplazmy... Albinoska jednym słowem! wcale nie biała dziewczyna, której pożądał Berber wśród oparów krwi! dla której wyciął cały szczerp sprzymierzony w pień! ale murzynka-albinoska, stokroć potworniejsza, niżli wszystkie zjawy waszych piekieł.

Darował te potwory swoim wojownikom, darował wszystkie trzody, wielbłądy, namioty i ziemie i, wzięwszy tylko to, co cenne, a łatwo przenośne, wrócił do Europy — na zawsze.

— (*Nieśmiało*). I znalazł jaką *naprawdę białą* dziewczynę dla siebie...?

— Nie znalazł, mała Infantko! Nie szukał jej może. Boi się białości do dzisiaj i zarazem tęskni do niej w nocie samotne i okrutne. Białą ma tylko szramę przez twarz.

—... i psa z gatunku shuoghi?

— I psa.

(*Długie milczenie*).

— Skoro obchodzimy wigilię szczęśliwego dnia — może i pani teraz opowie historję tej infantki, której złożyłem na Corsie lewkonję.

— (*bez zdziwienia*). Co?

— Proszę panią, bardzo gorąco panią proszę, niech pani... *zmyśla*, jeśli pani o niej nic nie wie lub nie chce powiedzieć.

— Spełniłam prośbę i zmyślam bajkę. Choć szkoda, bo historia mojej infantki jest tak nieciekawa w porównaniu do fantastycznych, nieprawdopodobnych dziejów Berbera. Infantka moja była od dziecka chorowita i krucha, jak szkło. Wyszła zamąż prawie nieletnia — infantki zawsze, młode bywają zaślubiane... bardzo nierozważnie i bardzo biernie. Chorowała wciąż, bez przerwy, sprzykrzyła się tedy prędko mężowi. Tylko sześć miesięcy corocznie grała w kraju rolę pani domu, nieudolna — niezwykle nieudolna — każdy ruch był zmęczeniem, każdy ukłon i każdy uśmiech udręką. Resztę czasu spędzała za granicą, we Francji, we Włoszech, w Egipcie. Nareszcie opuściła kraj na stałe i zamieszkała daleko w słońcu, w samotności i w kwiatkach. Zupełnie samotna. Aha! był z nią chow-chow, choć to nie jest zupełnie pewne... Nigdy nie pozwoliła sobie na najmniejszą radość, na najmniejszy wybryk, na najmniejszą fantazję, choć mogła sobie na wszystko pozwolić. Nie miała na nic ochoty. Dopiero kiedy zrozumiała, że przecież koniec się zbliża, ocknęła się. Nie bez odrobiny żalu... Teren działania miała już wtedy cokolwiek ograniczony... ot na długość ramienia... Pozwoliła sobie wtedy na malutką, nieopatrzoną zabawę. Ta zabawa jednakże rozwinęła się nie po jej myśli, za wartko... za... och! Przyjacielu miły! nigdy nie wiemy, jak się rozwiną nasze pomyslenia, najdzieciniejsze w zasadzie, i do czego zawiódą nasze ścieżynki wąskie i nieznaczne, trasowane bez głębszego zrazu zastanowienia na spłowieńszej murawie... Zwłaszcza, gdy tak lekko po tę zabawę przyszło sięgać — na długość ramienia. Do jednej małej, czarnej, zimnej, nic nieznaczającej słuchawki telefonu. I to w gorączce ponadto, w malignie, która niejedno tłomaczy. Czy ona wytłomaczy przed panem niezupełnie salonowe zachowanie infantki?

— (*Głucho, drżąco*). Pani Ewo!

— (*sennie*). Dlaczego się pan tak przejmuje mojem opowiadaniem, drogi przyjacielu? Przecież ja tylko zmyślam. Tak, jak pan chciał. Więc... trzeba było zakoń-

czyć zabawę, bo już się wszystko, trochę może niespodzianie, zaczęło kończyć; przyszły komplikacje o ślicznych łacińskich nazwach, a o tak bolesnej treści. Trzeba było wracać do kraju, aby tam nareszcie złożyć płochą głowę.

W pięknym grobowcu rodzinnym spocznie infantka, w którym wiele jej sióstr, również zdegenerowanych, spoczywa pod puchami tego śniegu właśnie, którego nie znała. Kule zamiast szeptu i ostatnia dawka kreozotu zamiast myrrhy. Tylko w swoim kraju się spokojnie spi, niech jej pan zatem zbytnio nie żałuje. Właśnie dziś ma przybyć rodzina infantki po nią — może małżonek? — Wezwany nagłym telegramem, którego treść przeczytała przyjadkiem. Chcą ją przewieźć do kraju, mającego kształt serca ludzkiego na mapie. Właśnie na 25. 11-ego są zamówione sleepingi, najbardziej wyścielane, najszybsze, bo anuż nie dowiożą?... ta nasza kabalistyczna liczba kochana... któżby przypuścił!?!?

— Pani Ewo! (*nieprzytomnie, z rozpaczą*). A gdyby ten Berber, ten barbarzyńca przyszedł nagle i wziął na ręce tę chorą, tę złotowłosą, tę w dymy popielatych sukien omotaną, tą... najmiłszą... i zawiózł do swojego kraju, nie na śniegi zimne, ale pod słońce, leczące wszystkie cierpienia — ?

— Wszystkie...? Nie wierzę. Nie ma takiego słońca. Zapóźno, przyjacielu, nawet na takie słońce. Mówiłam panu, że się w życiu mojem wszystko spóźnia. Wszystko czynię zapóźno... ach, miesza mi się w głowie... ja... infantka...

— (*Z żarem, z wybuchem, prawie z krzykiem*). Niech mi pani pozwoli przyjść do siebie! Może na sekundę, a może, na zawsze...?!

Pani obiecała być uległą i spełnić mają pierwszą prośbę. Otóż wnoszę ją... na kolanach, pani Ewo!

— (*Z gorzką żartobliwością*). Nie trzeba klękać, Kochany, przed telefonem. To przeżytki bałwochwaltwa... Dotrzymałam ci bez tego obietnicy. Spełniłam prośbę.

— Na miły Bóg, Ewo! (*Z pasją, z bólem, nie hamując się już*). Nie żartuj! Jaką prośbę moją spełniłaś?

(*Długie milczenie, a potem spokojnie, daleko, cicho, coraz jakby dalej*):

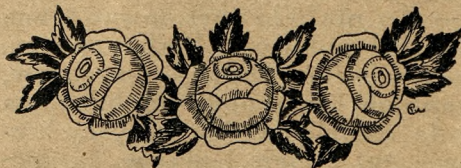
— Zmyśliłam ci przecież historję... infantki. Posłusznie.

(*Jeszcze dalej i jakby z łkaniem*).

— Tamto było zmyślane, tak, jak chciałeś, a jedno jest tylko prawdziwe dzisiaj, że cię żegnam.

— Ewo! Ewo! I że cię ja... szalenie... trrr. trrr. hallo! Hallooo... E...wo!

KONIEC.



J U L J U S Z W I R S K I

IDYLLA NA ARKTYKU



aby poprostu żyć i tworzyć swe własne życie, trzeba jeść, trzeba, zaspakajając minimalne choćby potrzeby życia kosztem częściowego lub całkowitego zaprzeczenia własnej wolności. Przeklęty świat, gdzie płaci się za wszystko nie miłością i pracą twórczą, pożyteczną, a namiastką wysiłku nieraz śmiesznie bezużytecznego i własną ludzką godnością, i wolnością. Jakże bała się tego świata i myśli, że może wkrótce stać się jego czynnym członkiem. Jak bardzo pragnęła pozostać na zawsze w boku tego mocnego człowieka, w absolutnej niezależności od śmiesznych, męczących form cywilizacji. Byliby oto na olbrzymiej, samotnej polaci panami udzielnymi, władcami wszelkiego świata zjawisk zdarzeń i uczuć. Marzenie to obróciło się w niwecz. Umarłe dla rzeczywistości było serce Piotra, urzeczony na wieczność przez jakąś nieznaną, a groźną i nieustannie obecną marę wyobraźni. Jakaż moc na świecie obudzić zdoła to serce, skoro nie mogła tego uczynić jej wielka, szczerą i dziecięcą prostą miłość?!

Wracali więc w milczeniu, gdyż wszelkie próby nawiązania rozmowy z Alkase zawodziły. Odpowiadała z pokorą, posłusznie, ale krótkimi twierdzącymi zdaniem lub prostym tak lub nie. Widząc przymus widoczny i odczuwając przykrość, jaką jej sprawia rozmowa, Piotr umilkł i sam oddał się ukochanemu marzeniu. — Jeszcze rok, dwa, a opuści na zawsze samotnię swoją, zakupi gdzieś w stanach południowych rokoszną posiadłość i otoczy Alkase, dzieciętko swoje serdeczne, całym wykwittem cywilizacji nowego świata. Nie rozstaną się nigdy, a jeśli zapragnie wyjść za mąż — „zięć“ zamieszka u niego. Wiadział w marzeniu szczęsnem siebie i Alkase w willi rokosznej, urządzonej z całym komfortem nowoczesnym, a obok jej męża, oczywiście jakiegoś dzielnego chłopca i dziecko! To dziecko słodkiej Alkase miało już z góry zapewniony niebylejaki kącik w sercu dziwaka. Przecież to będzie „wnuczek“ Piotra, umiłowany owoc boskiego łona najdroższej dziewczynki. Tak żył się z rolą ojca, tak ostatecznie zasugerował, że to śliczne dziecko jest jego własnym, że gdyby ktoś

zaprzeczył, obraziłby się śmiertelnie. W tej dziwnej autosugestji kryła się również przyczyna pozornego dla niej chłodu. Zdziwiłby się niepomiernie i szczerze, gdyby mu ktoś zaproponował z nią małżeństwo. Był to stan duszy i serca, kiedy uczucie ojcowskie jest potysiącokrotnie silniejsze, niż wszelkie inne, i wyklucza każdy poryw, któryby zwał jego granice. Te rozmyślenia i marzenia przerwała mu nagle sama Alkase mocnym szarpnięciem za rękaw. Nie mogła mówić z emocji i tylko ręką pokazywała na ośniepiałej bieliźnie śniegu coś, co się nie dało od razu poznać i odróżnić. Kiedy podjechali w pędzie jakieś czterysta, pięćset gardów, straszliwy widok targnął ich zaprawionemi do walki i przerażenia sercami. Olbrzymia niedźwiedzica, z której boku spływała obficie krew, obejmowała przednimi łapami i dosłownie miażdżyła potwornie skręcone ciało ludzkie. Rozległ się okropny krzyk, i coś jak pęknięcie kości, poczem jeszcze straszliwszy ryk rozjuszonego zwierzęcia. O kilka kroków od tej grupy tragicznej wściekłej tarzało się we krwi niedźwiedziątka, przyczyna rozpacz i gniewu mściwego matki. Serca obojga myśliwych przeszły lodowaty dreszcz przerażenia i zgrozy. Bez chwili wahania Piotr zatrzymał w pędzie sanki, wyskoczył, przykląkł i grzotną dwoma strzałami jeden po drugim w podniesiony łeb bestji. Było to już nie wykłą sprawą szczęścia, że miażdżony w straszliwych uściskach człowiek zakryty był do połowy wystającym ponad niego ciałem zwierzęcia.

Jeszcze łoskotliwe echo strzałów nie przegrzmiało na bezkresnej przestrzeni, a już Piotr wymierzał cios za ciosem w łeb, kark i łapy niedźwiedzicy. Runęła wreszcie martwa, ostatnim skurczem cisnąc do złanej posąką piersi nienawistnego wroga swego, mordercę umiłowanego dziecięcia. Wspólnymi siłami ramion, nóg, drążka udało się Piotrowi podważyć cielsko olbrzymie, rozluźnić śmiertelny uścisk i wydobyć nieszczonego z opresji. Był to młody, wysmukły, bardzo przystojny chłopak, teraz śmiertelnie blady, lecący przez ręce bezsilnie. Z ust płynęły dwa cienkie sznureczki krwi, ciężkie rżenie wydobywało się ze zduszonej piersi. Prędko natarło go śniegiem, obmyło twarz i ostrożnie złożono na sanki.

Mdał ustawicznie i jęczał cicho, daremnie zaciskając szczęki i pasując się z nadludzkim bólem. Pozostawiając zabita niedźwiedzicę i jej małe w tundrze, w skok ruszyli do chaty. Tam Alkase z przedziwną umiejętnością zabrała się do ratowania młodego. Ostrożnie rozebrała go, pomimo jękliwych protestów, i starannie zbadała. Miał kilka żeber zgniecionych i straszne cięcie niedźwiedzich pazurów przez piersi i ramię. Otwarte szeroko rany wysączyły nieomal wszystką krew z jego młodego ciała i ciemnymi gruzłami zasklepiły się, jak ohydna i niezbadana tajemnica. Alkase szybko przygotowała gorącą wodę, szarpie, wate, bandaże i środki dezynfekcyjne. Wodę długo i starannie cedziła przez wielkie kłęby waty. Kiedy otrzymała spore wiadro zupełnie czystego płynu, poczęła szybko i ostrożnie obmywać potwornie poszarpane ciało, porzywaną skórę, poprzedziane ścięgnięciem. Ranny przestał protestować, a tylko wił się z bólu, zaciskał zęby i mdał co chwila. Obmywszy starannie wszystką krew, przygotowała rozczyn karbolu i powtórnie przemyła rany. Teraz dopiero prosiła do pomocy Piotra. Wspólnymi siłami nałożyli opatrunki i bandaże według wszelkich zasad sztuki łowieckiej. Zapewne pierwszy lepszy felczer zrobiłby to lepiej i bardziej fachowo, ale nikt nie uczyniłby staranniejszej i troskliwej. Zadowolona ze swego dzieła, zakrzątnęła się natychmiast w około odpowiedniego posiłku. Zgotowała naprędce trochę i mocnego buljonu, dodała do tego parę jaj pardwich i omal że przemocą napoiła tem rannego. Z głębi składów wydołała butelkę dobrego wina, prawdziwy skarb Golkondy w tym, przez Boga zapomnianym, zakątku, i na przyzwalające skinienie Piotra wlała małymi łykami w usta sporą dawkę. Teraz pozostawało jedynie nakryć go dobrze i pozostawić w spokoju. Jakoż wkrótce zasnął. Alkase, naprzemian z Piotrem, doglądała go nieustannie, badając, czy nie gorączkuje. Późno w noc wywiązała się gorączka i doszła do najwyższego napięcia. Ranny zrywał się, krzyczał, wzywał na pomoc lub usiłował zerwać opatrunki, które mu śnać mocno dokuczały. Chwilami majaczył i mówił coś bez związku o domu rodzinnym, o matce, o jakichś towarzyszach podróży, którzy byli widać wszyscy, jak i on,

anglikami. Sam mówił wyłącznie po angielsku.

Nad ranem gorączka spadła. Ranny zasnął długim, obezwładniającym snem. Przespał tak do południa, a kiedy otworzył oczy, już pochylała się nad nim nieznaną mu śliczną twarz z gorącym bulonem. Posilił się w milczeniu, wypił wszystko skrzętnie do ostatniej kropli, poczem zapytał po angielsku: „proszę mi powiedzieć, gdzie jestem, i kto mnie wyratował od śmierci”. „Jest pan u przyjaciół, a od śmierci wyratował pana Bóg i wielki biały człowiek, który się nazywa Piotr”, odpowiedziała w tym samym języku dziewczyna. Odpowiedź była tak naiwnie prosta, że pomimo okrutnego bólu, uśmiechnął się lekko. — „Ach, tak! Więc muszę się przedstawić: jestem James Watkins — od biłem się na polowaniu od towarzyszy i zostałem napadnięty przez białą niedźwiedzicę. Czy mógłbym także zobaczyć wielkiego białego człowieka, któremu zawdzięczam życie?” „Piotr jest obecnie w tundrze, bo musi ściągnąć wielką niedźwiedzicę i małe, które pan, zdaje się, ranił. „Nie trzeba nigdy strze-

łać do małych niedźwiedzi — do dała, jakby tonem przestrogi — gdyby nie my, Bóg wie, co by się z panem stało!” Więc pani ratowała mnie wspólnie z pani towarzyszem! wykrzyknął zdumiony. Patrzył teraz na nią z podziwem, kręcąc głową. „Nie wiedziałem, że na najdalszej północy są takie śliczne dziewczęta, które chodzą na grubego zwierza i ratują życie zabłąkanym podróżnym.” Chciał jeszcze coś mówić, ale ból piekący w piersi powalił go z powrotem na poduszki. Z ust pociekł znowu cienki sznurzek krwi. W tej samej chwili wszedł Piotr i znowu, wspólnie z Alkase, zmienił rannemu opatrunki. Na szczęścierany, choć szarpane, nie były niebezpieczne. Dziś jeszcze, a może i przez kilka dni następnych można było oczekiwać stanu gorączkowego, ale silny organizm



i młodość pozwalały nie obawiać się żadnych groźnych powikłań. Po opatrunku ranny zasnął znowu i spał aż do wieczery. Nakarmiony buljonem z jajkami i napojony winem, zasnął znowu, gorączkując jednak w miarę posuwającej się nocy. Z prawdziwie kobiecej potrzeby serca Alkase nie pozwoliła się wyręczyć Piotrowi i całą prawie noc przesiedziała przy rannym, podając mu od czasu do czasu napój chłodzący z wody i wina. Nad ranem gorączka znów spadła, jak i dnia poprzedniego, i sen stał się spokojniejszy. Wtedy dziewczyna udała się na krótki spoczynek, a po kilku kwadransach była już z powrotem u łóżka chorego. Czując rzewną radość i wielkie szczęście, że oto może nieść komuś pomoc w cierpieniu, a przez to zapomnieć o własnej męce. Instykt macierzyński, tkwiący w każdej duszy kobiecej, sprawił i tym razem, że znalazła istotną pociechę w pielęgnowaniu z niezwykłą troskliwością tego dużego, pięknego chłopca, a już Jamesowi opieka ta i troska wyszły na dobre w całym tego słowa znaczeniu. (c. d. n.)

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

15

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



hropowate, czerwone ręce Adasia znajdują się nagle na moich ramionach, wpijają się w nie mocno, prawie sprawiają ból. Pocziwe, szafiowe oczy

przez chwilę wpatrują się we mnie z bardzo serdecznym wyrazem. Biedny Adaś, widzę to dobrze, sam z całych sił panuje nad wzruszeniem. Po kilku sekundach odzywa się nieswoim, grubszym jakimś głosem:

— No... to już wszystko, co ci miałem do powiedzenia. Będiesz pamiętać? Wyzbieraj resztę kasztanów, ale tylko same najwieksze. Waćpanią, jak będzie miała kocięta, poić mlekiem cztery razy dziennie... Doglądać kuca... Żeby mi Ela wózka nie popsowała, bobym jej wysypał... I co jeszcze? Tak, to już wszystko. Będiesz pamiętać? Najlepiej powtórz za mną jeszcze raz: Waćpani, wózek, króliki...

— Waćpani... wózek... króliki... —

wyliczam drżącym głosem pięcioro Adasowych przykazań.

— ...i zachodzić do kuca. Dobrze. A teraz już naprawdę dowidzenia. Acha, jeszcze jedno: „Ducha puszcz” w lno ci wzięć z półek, ale pamiętaj, zrób mu okładkę i nie pozaginaj kartek!

— Adaś! Adaś. O, Jezusie Nazareński, czy on się w ziemię zapadł? Czwarta godzina, czwarta! A-da-siu!

— Jestem. Czego Balbina tak krzyczy? — mówi Adaś hardo, wysuwając się z cienia na środek pokoju — Czy to Balbina jedzie, czy ja? Też robić zaraz taki gwałt! Antoni zawsze zawczasie zapręga...

— A, jesteś! Chwała Bogu! Będziesz tu jeszcze rezonował? Bierz czapkę i pakuj się na bryczkę, mądrało! Chcesz całą noc czekać potem na stacji na ranny pociąg? I niech cię Pan Bóg błogosławi, mój ty, kochanieńki...

Dyń... dyń... dyń... dyń... Zdawało mi się, że zegar wybił czwartą.

Otwieram zmęczone oczy. Nie. Wskazówki wciąż stoja nieruchomo. Wizja z przeszłości rozwiła się. Lecz na jej miejsce natychmiast jawi się inna:

Siedzimy w bawialni. Pokój zalany słońcem. Na wiśniowym drzewku, w pobliżu okna, siedzą chmarami wróble i wiele czynią hałasu nieustającym ćwierkaniem. Pochylona nad książką, splatam i rozplatom końce długich warkoczy. Udaję, że pilnie czytam, chociaż właściwie nadsluchuję ze drżeniem, czy nie zbliża się odgłos kroków w korytarzu. Cisza. Ciągłe ta sama dręcząca cisza...

Ela trzyma w ręku kromeczkę chleba, kruszy ją i rzuca swarliwym ptaszkom przez okno. Nagle obraca się ku mnie i mówi:

— Krysiu... Przecież Zdzis chyba nie umrze, jak Hania? Co, Krysiu? Nie mogę nawet odpowiedzieć. W gardle mi zaschło zupełnie, żadne słowo przejść nie chce. Moje piętnastoletnie serce, które już

różnych zaznało goryczy i cierpień, kurczy się w nagłym bólu. Ja czuję, że Zdzis umrze. Ten mały Zdzis Ginianej, czuprynie i turkusowych oczach, skradzionych Januszowi. To śliczne bobo, tak bardzo kochane przez wszystkich. Biedna Emilka!

Ktoś szybko podchodzi do drzwi, uchyla je, zagląda. To właśnie Janusz. Ogorzała, piękna jego twarz jest w tej chwili prawie tak popielata, jak ubranie. Śmiejące się zwykle usta mają wyraz bolesny.

Ela zrywa się z miejsca:

— Tatusiu!

— Tsss... szepcze Janusz i szybko przyryka drzwi — Nie podchodź, Elu. Nie można.

Dziewczynka spuszcza głowę. Teraz z kolei ja podnoszę swoją z nad książki i rzucam pytanie oczami. Niema odpowiedź jest smutna, beznadziejnie smutna. Wyraża już tylko bezradność i rozpacz.

Jesteśmy odseparowane od całego domu. Wszyscy są tam, przy Zdzisiu, który jeszcze żyje. Raniutko Balbina przekradła się do nas na górę, stanęła w progu i rzekła:

— Lepiej!

A potem w porze obiadowej, gdyśmy siedziały we dwie przy dużym, pustym stole, ukazała się w oknie otwartym i potrząsnęła głową:

— Znów gorzej.. — szepnęła z westchnieniem i poszła prędko, śpiesząc się do gospodarstwa, jak zwykle. O tej ostatniej sztafety nie wiemy nic. Ela drepcze na miejscu, przerzuca kartki albumu, dobrze jej znane widoki Krakowa, bębni palcami po stole, gapi się w okno.

— Poczytaj głośno — mówię — Nie miałyśmy dziś lekcji.

— Ech, czy to można się uczyć, kiedy Zdzis taki chory, Krysiu?

— Co?

— Czy z szkarlatyny każdy umiera?

— Nie, Elu, nie każdy.

Dziewczynka westchnęła z ulgą.

— Bo ja myślałam... Hania przecież umarła... I na czworakach dwoje dzieci furmana... Jak ci się zdaje, czy my też dostaniemy szkarlatyny?

— Nie... Myślę, że nie... Już przeszło dwa tygodnie, jak Hania zachorowała. A nas w tej chwili przenieśli na górę. To już pewnie będziemy zdrowe.

Jak ten czas wolno się wlece, jak wolno... Wskazówki zegara zdają się wcale nie ruszać. Minuta.. Znowu minuta.. Boże, Boże...

Znów hałas w korytarzu. Zamieniam się cała w słuch. Ktoś biegnie... Trzaskają jakieś drzwi... I nagle dolatuje z oddali stłumione, a przecież wyraźnie szlochanie. Zegar cyknął cichutko przed uderzeniem godziny... „Ah... ah... ah... ah...“ płacze Emilka w trzecim pokoju, a zegar poczyna bić powoli: „Dyń.. dyń... dyń... dyń...“ i głosy te mieszają się ze sobą, płaczą, tworzą straszliwie smutną symfonię z łez i dzwonów pogrzebowych..

Pierzchni obraz. W pokoju ściemniło się zupełnie. Tylko tarcza zegara majaczy jeszcze niewyraźnie, a nad nią Chronos — Czas, zbrojny swą kosą. Wyteżam wzrok i zdaje mi się, że widzę jego twarz starczą, a na niej wyraz pół — drwiący. Surowe wargi mówią;

— Przypomnij sobie. Jeszcze jedną godzinę dzwoniłem w twem życiu. Pamiętasz? Minął dziesiątek lat, a ty nie zapomniałaś..

O, tak. Pamiętam. Dlaczego miałabym kłamać sama przed sobą, że zapomniałam? Lecz wówczas, — wiele lat temu, — to Ty, Chronosie z brązu, skłamałaś przedemną. Twoje spokojne oczy mówiły mi co innego, niż dziś. Mówiły, że wszystko mija, że wszystko, wszystko przemija...

Patrzę na zatrzymany zegar i myślę ze smutnym tryumfem: oto wskazówki, znaczące ulatujący czas, stanęły na tej godzinie — na tej właśnie mojej godzinie — której nawet czas nie zdołał zwyciężyć...

XIX.

Skończyły się te moje przymusowe wakacje. Z prawdą radością wracam jutro do szkoły, do kochanych dzieci cisków, do ścian, popstrzonych barwnymi wycinkami i do czarnej, pokiereszowanej tablicy, na której miałabym wielką ochotę wypisać ogromnymi literami motto dla samej siebie: „Lećmy — i odtąd nigdy nie niżajmy lotu!”

Bowiem ostatnio zniżyłam mój lot — mój lot życiowy.

Przeszło sześć tygodni przetrwałam w jakimś dziwnym pół-snie, w odrętwieniu, w zupełnym oderwaniu od realnego życia.

Teraz czuję się, jak rekonwalescent po długotrwałej, ciężkiej i niebezpiecznej chorobie. Trochę mi się w oczach ómi, trochę niepewnie stawiam kroki, uczę się nanowo chodzić po ziemi, ale — już chodzę

Ostatnią, najsilniejszą dawkę słodkiej trucizny wspomnień przełknęłam w wieczór wigilijny, spędzony między burmistrzem, a jego żoną. Przełamali się ci zacni ludzie ze mną opłatkami i życzyliśmy sobie wzajemnie wszelkiej pomyślności.

— Oby pani jaknajdłużej została tu z nami! — ozwał się mój gospodarz serdecznie, a ja pomyślałam: Kto wie, czy na przyszłe święta będę tu jeszcze... Wigilijne życzenia tak rzadko spełniają się w życiu...

Wieczerza skończyła się o dziewiątej. Wymówiwszy się zmęczeniem (co po tak długim cherlaniu było zupełnie zrozumiałe), wróciłam do swego pokoju i tu dałam się całkowicie opętać wspomnieniom. Powrotna ich fala silniejsza była, niż kiedykolwiek. Obrazy przeszłości kłębiły się pod czaszką. Wszystkie „choinki“ zajaśniały nanowo, wszystkie święta Bożego Narodzenia przesuwały się przed oczyma we wzorowym ordynku, a spędziłam ich w Klimontowicach niemało. Nie zbrakło i tej ostatniej „gwiazdki“, która wzeszła na niebie mych marzeń właśnie w taki wigilijny wieczór, a choć niebawem miała zagasnąć na zawsze, ta jedyna gwiazdka nie zbladła i nie szcerniała w pamięci, jak tyle innych.

Dlaczego nigdy nie wymówiłam głośno imienia Zbigniewa Rymysz od dnia, gdy jednym olbrzymim wysiłkiem woli wypadło mi przekreślić najpiękniejszą kartę własnej historii? Czyżbym w owej chwili wymazała na zawsze z pamięci to imię najdroższe, jedyne? Z pamięci — nie. Raczej z serca — to wielka różnica. Serce mogła przeboleć, — pamięć zostaje, nawet się z czasem zaostrza.

O, jak wyraźnie widzę dziś bezsens owego domn emanego „zwycięstwa“! Chciałabym być do ostatnich granic ofiarą, a byłam tylko naiwna, wierząc wówczas, że tak, od jednego zamachu zdeptawszy własne szczęście, stworzę raj na ziemi tym dwojgi: Jemu i Eli.

Stało się i już się nie odstanie. I nie powinnam wysłać o tem. A jednak...

Dalszy ciąg studjum K. Bielańskiej p. t. „Piękna Pamela“ zamieścimy w następnym numerze.

(Redakcja)

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



ANKIETA O PRZYJAŹNI.

Jedno z pism angielskich ogłosiło niedawnymi czasy ankietę na temat przyjaźni. Chodziło mianowicie o stwierdzenie, czy epoka obecna sprzyja rozwojowi tego uczucia, czy też nie. W ankiecie tej wzięli udział wybitni literaci, artyści, działacze społeczni itd. — płci obojga. Odpowiedzi dadzą się zszeregować, w kilka najważniejszych grup, a mianowicie:

Grupa 1 sza twierdziła stanowczo, iż przyjaźń, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, jest uczuciem niezmiernie rzadkiem, prawie wyjątkowym, przyjaźń zaś pomiędzy mężczyzną a kobietą wogóle jest niemożliwa.

Grupa druga, wprost przeciwnie, utrzymuje, iż przyjaźń pomiędzy osobami płci różnej jest nie tylko możliwa, lecz staje się w obecnych czasach zjawiskiem coraz częstszym. Małżeństwa dzisiejsze są — w przeciwieństwie do dawniejszych — oparte przeważnie na przyjaźni. Sprzyja temu zmiana warunków życia nowoczesnego, wyemancypowanie się żony z pod „władzy“ męża i przejście tych dwójga na stopień prawie koleżeństwa. Często widzimy, że ona pracuje razem z mężem w tym samym zawodzie. Młodzi ludzie poznają się w warunkach innych, niż dawniej: nie na balach i zabawach, lecz w pracy, w biurze, w szkołach zawodowych, uniwersytetach itd. Wspólność zainteresowań stanowi podłoże przyjaźni, która doprowadza z czasem do małżeństwa.

Trzecia grupa wreszcie zajmuje poniekąd stanowisko pośrednie.

Stwierdza ona również wzrost wypadków szczerzej przyjaźni pomiędzy mężczyzną a kobietą, przypisując ten objaw tymże samym przyczynom, co i grupa poprzednia. Uważa natomiast za fakt, iż odkąd kobiety znalazły w mężczyznach dobrych kolegów i serdecznych

przyjaciół, wypadki prawdziwie przyjaznego stosunku pomiędzy dwoma kobietami — lub też mężczyznami są coraz rzadsze. Wygląda to tak, jakbyby nowocześni mężczyźni i kobiety teraz dopiero zrozumieli, iż są wzajem dla siebie stworzeni i że stosunek ich, oparty na zaopiołnej szczerości i ufności z pominięciem pierwiastku erotycznego, dać im może jedynie szczęście i zadowolenie w życiu.

JOANNA D'ARC — PIERWSZĄ EMANCYPANTKĄ?

Młoda autorka amerykańska, Mercedes de Acosta, napisała sztukę teatralną p. t. „Dziewica“, która ma być w najbliższym czasie wystawioną w Paryżu. Bohaterką tej sztuki jest Joanna D'Arc, przedstawiona, jako pierwsza bojowniczka o prawo kobiety do „czynu“, — do wyjścia poza ciasne ramy ogniska domowego i wzięcia udziału w życiu narodowym.

Sztuka napisana jest podobno z dużym talentem, z rojącym młodą, a nieznaną dotychczas autorce wielkie powodzenie. Pisma francuskie zwracają uwagę na oryginalne ujęcie tematu i podnoszą odwagę młodej literatki, która nie waha się wystawić swego dzieła bezpośrednio po cieszącym się tak olbrzymim sukcesem dramacie Shaw'a.

DLACZEGO DZISIEJSZE KOBIETY SIĘ NIE STARZEJĄ?

Znany lekarz angielski, dr. Percy Hall, wygłosił na kongresie medycznym w Brighton referat, w którym dowodził, że kobiety współczesne starzeją się znacznie później, niż ich matki i babki. W ubiegłym wieku — mówił ów uczonek — kobieta zaledwie czterdziestolatnia była już wiekową matroną, ubierającą się w ciemne, wełniane suknie z ciężkiego, grubego materiału przykrywająca włosy jedwabną lub koronkową chusteczką i narzucająca na ramiona ciepły szal wełniany. Dzisiaj kobieta czterdziestoletnia nie różni się ani wyglądem, ani ubiorem od swej dwudziesto, czy osiemnastoletniej córki; — jest to zjawisko tak zykłe, że przestaliśmy już nawet nad niem się zastanawiać.

Nas, lekarzy, zaś ^{dr.} stanawia jednak ta kwestja i znajdujemy dla niej wyjaśnienie. Oto przyczyną tego zjawiska szukać należy w zmienionym i bardziej higienicznym trybie życia kobiety współczesnej, w jej zamiłowaniu do sportów, ruchu, rozrywek na świeżem powietrzu i t. d. Dzisiejsza pani, nawet po przekroczeniu owej czterdziestki, uważanej przez nasze babki za wiek fatalny, gra z zapałem w tenisa, jeździ konno, tańczy i t. d.

Niezmiernie doniosłe znaczenie ma także i ubiór kobiety. Nie znam się na modzie i nie będę się wdawał w rozważania, czy sposób ubierania się naszych pań jest elegancki i estetyczny, czy też nie; jako lekarz, jednak stwierdzę, że jest on bezwzględnie wysoce higieniczny. Suknie krótkie i wycięte, odsłaniające ramiona i szyję, luźne, bez straszliwych gorsetów, uciskających dawniej wszystkie organy wewnętrzne — suknie te powtarzam, są prawdziwym dobrodziejstwem dla organizmu kobiecego. Umożliwiają one dostęp powietrza do ciała, nie krępują organów, pozostawiają swobodę ruchów i t. d. — wszystko to zaś stanowi niezbędny warunek higieny.

Za bardzo ważny przyczynek do zdrowia uważa także dr. Percy Hall nożenie bielizny jedwabnej. Zdaniem jego, jedwab, zarówno prawdziwy, jak i sztuczny, udostępnia przenikanie fioletowych promieni słonecznych do skóry, co ma bardzo ważne znaczenie lecznicze i oddziaływa bardzo dodatnio na utrzymanie świeżości i elastyczności skóry. Przy tej sposobności zaprotestował dr. Percy Hall jaknajenergiczniej przeciwko zarządzeniom ministra Churchilla, zmierzającym do ograniczenia importu jedwabiu, przez obłożenie go bardzo wysokiem cłem. „Jestto czyn karzący i bezmyślny — oświadczył dr. Hall — przynosi bowiem szkodę społeczeństwu. Jedwab nie jest przedmiotem zbytku, przeciwnie, stać się on powinien z wężej włosów powołów, artykułem pierwszej potrzeby. Mam nadzieję, że wkrótce wszyscy zrozumieją higieniczne znaczenie jedwabiu, i bielizna jedwabna wejdzie powszechnie w użycie, zastępując dotychczas używaną płócienną i bawełnianą.“

Z. B.



KAPELUSZ, SZAL I PARASOLKA



ściegami pokazanymi na rysunku.

Kapelusz, właściwie czapeczka, uszyty z czterech kwatek (fason taki podawaliśmy niejednokrotnie na łamach „Bluszczu“, ostatnio w № 24) z klapą, wyłożoną z przodu, ma na każdym szwie wyhaftowaną gałązkę; gałązki te spotykają się na czubku główki. Na wyłożeniu wyhaftować można cały bukiet, którego wzór podajemy.

Na szalu haftujemy ten sam motyw raz lub powtarzając go dwa albo trzy razy, zależnie od szerokości szala.

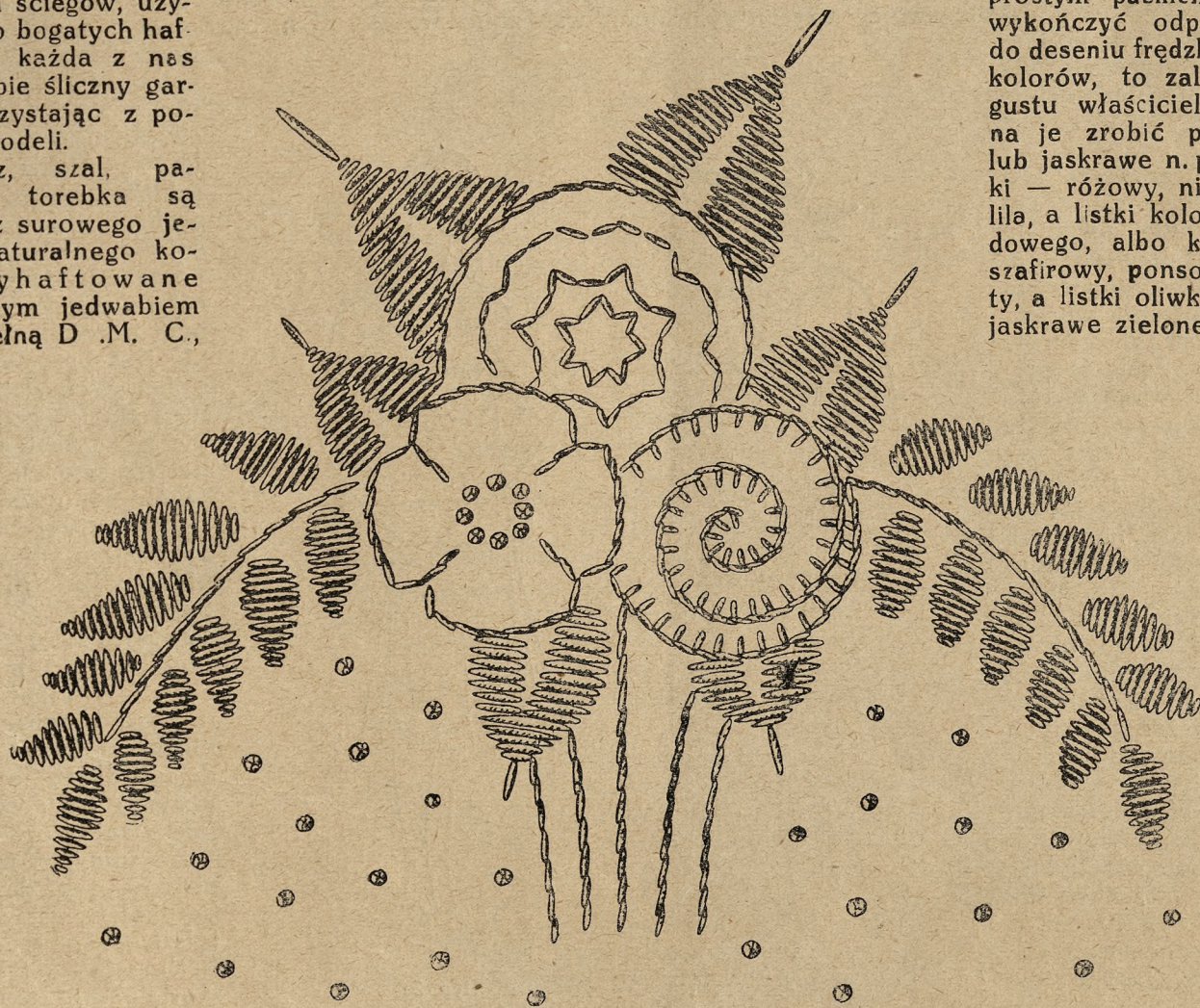
Na parasolce wystarczy zupełnie wyhaftować jeden motyw na każdej kwaterce. Woreczek, jeśli nie chcemy dawać go do oprawienia, można



Bardzo łatwym sposobem, nie znając nawet skomplikowanych i trudnych ściegów, używanych do bogatych haftów, może każda z nas zrobić sobie śliczny garnitur, korzystając z podanych modeli.

Kapelusz, szal, parasolka i torebka są zrobione z surowego jedwabiu, naturalnego koloru, i wyhaftowane sztucznym jedwabiem lub bawełną D. M. C.,

zrobić z dwóch kół, obciągniętych materiałem i połączonych ze sobą prostym paskiem, a dół wykończyć odpowiednią do deseni frędzlą. Co do kolorów, to zależnie od gustu właścicielki, można je zrobić pastelowe lub jaskrawe n. p. kwiatki — różowy, niebieski i lila, a listki koloru rezedowego, albo kwiatki — szafirowy, ponsowy i żółty, a listki oliwkowo albo jaskrawe zielone.



LIST Z PARYŻA

Pora wyścigów. Okazja popisu dla wszelkiego rodzaju letnich szyków. Jeszcze kilka dni „Grand Prix de Paris“, parę „soirées de gala“ na wystawie sztuki dekoracyjnej i, zmęczony całoroczną gorączką, Paryż zacznie się powoli wyludniać -- w stronę gór, wsi i morza. To też śpieszyć się trzeba i korzystać, o ile tylko się da z letnich toalet; czas leci, jak wiatr, sezon trwa tak krótko! Tego roku więcej, niż kiedykolwiek, jesteśmy modzie bardzo obowiązane, gdyż prostota, o której tak szeroko się mówi, przyjmuje kształty modne, wdzięczne i wyszukane.

Czy to na rano, czy na popołudnie, czy na wieczór, daje się łatwo zauważyć tendencja przeciwna bogatym, ciężkim materjom, gdyż lekkość sama się modzie narzuca, co zresztą zupełnie nie przeszkadza naszej serdecznej dbałości o zachowanie wszędzie i zawsze linii w całości szykownej.

Z ostatnich wyścigów w Chantilly podaje niżej 3 modele, w których łączy się właśnie specjalny paryski „cachet“ z tą prostotą, o której już wspominałam. A więc przedewszystkiem muszę zauważyć, że sławna „redingote“ nareszcie uległa dużej zmianie. Do dziś jeszcze fason ten nie miał w sobie nic specjalnie pociągającego. Powodzenie swoje zawdzięczał głównie snobizmowi paryżanek, dla których ostatnim hasłem mody jest linja sucha, męska.

Obecna „redingote“ jest daleko wdzięczniejsza i zostawia pole do wielu pomysłów i osobistej fantazji. — Ze swojego pierwotnego wzoru zachowała wprawdzie kołnierz i rewery, ale skasowano rozcięcie z tyłu, wyprostowano wcięte szwy w ten sposób, że idą od środka ramienia aż do dołu, i zamiast czterech guzów zastosowano zapięcie, idące od rewerów często aż do dołu (rys. 1).

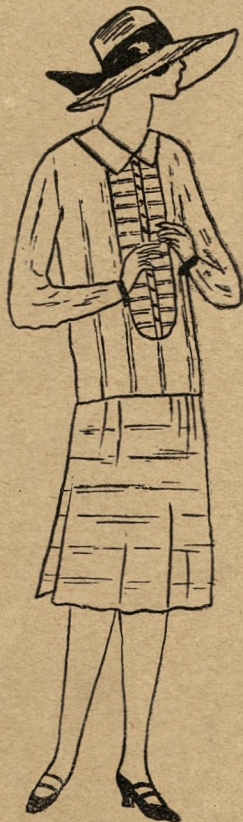
Wreszcie zmienił się kolor, zamiast beige, brązowego, a w najlepszym wypadku, „homespun“ używa się teraz pięknych pastelowych cover-coatów: np. vieux rose, bleu pervenche, vert amande, migdałowy, cyclamen it.d.

Z dobranym dokładnie w kolorze maleńkim filcem, całość ta ma szyk zupełnie specjalny i dotąd nieznanym. Lekkie suk-



Rys. 1

nie robią się przeważnie crêpe de chine'u gładkiego lub fantazyjnego. Na zwykły, codzienny użytek są więcej wskazane moty-



Rys. 2



Rys. 3

wy skromne, nieszkodliwe: drobna kratka, nikłe paski, które mniej wpadają w oczy, niż kwiaty i duże desenie.

Do tych skromnych rysunków należy umiejętnie zastosować fason np. prosta sukienka z białym plastronem (rys. 2). Wykończając taką sukienkę plisami z gładkiego jedwabiu w tym samym tonie, otrzymujemy całość młodą i bardzo ładną.

Wreszcie pod czarnym paltem widziałam suknię w stylu bardziej wieczorowym, która się musi bezwzględnie podobać i daje się łatwo wykonać.

Na spodzie z łamy w pasy srebrne i złote, gładka tiunika z różowego voile de soie, za ledwie trochę rozszerzona u dołu. Bukiecik ze złotych i srebrnych różyczek, spięty na ramieniu, jest całą ozdobą. Efekt jednak wyjątkowo udany i bardzo odpowiedni do sezonu, na letnie wieczory i obiady w kasynie (rys. 3).

Lecz zanim skończę dzisiejszą pogawędkę pozwolę sobie dodać słów parę o ostatnim wynalazku mody, który tutaj robi prawdziwą furorę: „Bracelet arc en ciel“. Wybryk chwili, fantazja dosyć dziwna, zwraca na siebie uwagę i wyklucza milczenie. Jest to bransoleta z perełek różnobarwnych, maleńkich, okrągłych i doskonale dobranych. Dwanaście rzędów składa się na całość. — Każdy rząd w innym odcieniu. Cała symfonia kolorów: niebieski, pastel, szklano zielony, „jade“, srebrny, lila, różowy, wiśniowy, czerwony, złoty, pomarańczowy, „mordoré“ i t. d., albo w odmiennym porządku, co wcale nie jest brzydsze.

Już wchodzi w użycie na rękę i łączy się chętnie z odpowiednim „collier“ na szyi! Maleńkie, jak pestki winogron, w świetle błyszczące pryzmaty, arcydzieła niewybrednej biżuterji, fatalaszki dla pańienek od 14-stego do 40-stego roku, krzykliwe pośredniczki między bazarem, a biżuterją, klejnoty dla czarnej księżniczki, perły te trwać będą tak długo, jak inne kaprysy mody, tak długo, jak trwają róże...

Na ulicy, w teatrze, w pracowni, zdobyła ta bransoleta prawo obywatelstwa; ktoś rzucił hasło, — tłum je podjął... to historia mody.

Sekwa.

TRENY I KRYZY, KORONKI I SZALE W EPOCE EMPIRE'U

Mniej więcej w ciągu 10 lat moda zachowuje te formy, jakie skryzalizowały się w 1794 r. Suknia z jednej sztuki, zupełnie gładka, stąd słusznie nie „robą”, lecz „koszulą” zwana zakończona trenem dłuższym lub krótszym, stosownie do okoliczności: na ulicę 6 łokci, do salonu nawet 14!

Ukazanie się trenu wywołało zrozumiałą, choć nieco konieczną i przesadną przeciw niemu kampanję. W r. 1795, przy zakończeniu semestru w królewskiej szkole realnej w Berlinie, jeden z uczniów przedłożył „Prośbę młodzieńca do pięknych pań Berlina z powodu trenów!”

Damy berlińskie nie były jednak dość pomysłowe na to, aby odparować cięcie prośbą do młodzieży o zredukowanie palenia...

Treny ówczesne rzadko wlokły się po ziemi. Okręcano je kilkakrotnie koło ciała, tylko za koniuszerek trzymając ręką. Przy tańcu zarzucało się go na ramię dansera. Dawało się to tem łatwiej uskuteczyć, że suknie były zrobione z bardzo lekkich materiałów i nie obciążone ozdobami. Wymagała tego modna podówczas prostota, którą jednak umiejętny krawiec umiał uczynić kosztowną. Skromna suknia z indyjskiego per-



kalu kosztowała w Paryżu 2 000 franków; haft i tren podnosił jej cenę do 6, a nawet 8 tysięcy franków.

Suknia księżny W. rtemberskiej, haftowana stalowymi paciorkami, kosztowała 3.000 fr. W wyprawie cesarzowej Marji Ludwiki wiele było sukien haftowanych, jedna ze złotej i srebrnej lamy za 7.400 fr., inna z różowego tiulu za 4.500 fr., wreszcie blondynowa szata za 6.000 fr.

Wobec powodzenia lekkich i przejrzystych materiałów wróciły do mody koronki. W Paryżu słynęła z nich panna Lange, która, jako metresa komisarza Maudrin'a, posiadała wszystkie koronki Marji Antoniny. Nieco później najwspanialszą kolekcję miała Józefina. Wartość ich wahała się od 40.000 do 100.000 franków.

Od roku 1800 zaczęto nosić suknie rozcięte. Czasem otwierano wierzchnią suknię z przodu, na spodzie odmiennego koloru, to znowu rozcinano ją z tyłu w kształt zapaski. Jeżeli sięgała do pasa, nazywano ją fartuszkim „caraco”. Często rozcinano suknie na wysokości kolan, z czego powstawała tunika gładka lub marszczona. Na wierzchnie suknie, strojniejsze, używano cięższych materji: aksamitu, atlasu, przeróżnych jedwabi, bogato haftowanych.

Na rok 1804 wypada szczytowy punkt rozwoju długich trenów. Spotyka się on z uroczystą koronacją Napoleona, której, jak wiadomo, towarzyszył niesłychany przepych. Koronacyjne stroje cesarza i cesarzowej, wykonywane u Lerey i M-me Raimbaud, kosztowały ogó-

łem 1.123.000 fr. Każda dama dworu otrzymała po 10.000 fr. na toalety i nie było mowy o zaoszczędzeniu czegoś z tej sumy, bo gdy Napoleon zauważył raz jedną z dam przy dworze dwa razy w tej samej sukni, zburczał ją, jak rekruta.

Józefina, jako cesarzowa, w ciągu 5 lat wydała na toalety 6.647.580 fr. Miała 600 sukien, corocznie kazała sobie robić 100 nowych. Zapobiegliwa niemieczka, Marja Ludwika, była mniej rozrzutną. Wydawała tylko 30.000 fr. miesięcznie

na stroje i jeszcze od tej sumy odkładała oszczędności. Wielkie damy przywdziewały niekiedy jednocześnie dwie suknie naraz. Reichard opowiada, że widział na pewnym balu panią Récamier we wspaniałej aksamitnej toalecie, którą zdjęła do tańca, a wtedy okazało się, że ma pod spodem haftowaną toaletę balową z białego jedwabiu.

Głębokie wycięcie i krótkie rękawki ciągle trwają, nabierają dzięki odmiennego charakteru dzięki „romantycznym” dodatkom. Wchodzi w modę bufki i kryzy. Te reminiscencje średniowieczne spotyka się w Berlinie już w r. 1793, gdy aktorka Unzelmann wprowadziła w użycie rycerskie kołnierze, następnie w 1796 r. gdy noszono w Berlinie bufiaste rękawy i cze-



1813 r.



1814 r.

peczki à la Jane Grey. Moda kołnierzy stała się światową dzięki Anglii, skąd rozpowszechniły się kryzy koronkowe, na cześć królowej Mess, zwane „Betsies“. W Paryżu znano je pod mianem „Chérusses“, a postać ich autentyczną i zgodną z przeszłością ustalił Leroy na podstawie wyczerpujących studjów bibliotecznych. Kryzy stopniowo grubiały wokół szyi, bufki zstępowały aż do przegubu ręki, i w ten sposób około r. 1805 powstał nowy krój sukien, które z dawnej mody zachowały jedynie krótki stan. Odpadł tren, suknia pozostaje wąska, ale skracasię stopniowo, od r. 1810 sięga ledwie do kostek. Co obcięto u dołu, znalazło się w górze. Środek ciężkości przeniesiono na szyję i ramiona.

Znikły wielkie nimfy i boginie, a na ich miejsce ukazały się dziwaczne potworki, z bardzo dalekim podobieństwem do ludzi.

Szczyt zepsucia smaku osiągnął Wiedeń w 1817 r., gdzie suknia bez żadnego wcięcia zaczynała się u szyi, a kończyła daleko od ziemi, powystrzygana w t. zw. „dents de loup“. Dodajmy do tego odpowiedni kapelusz, a strach na wróble gotowy. Wogóle w latach 1811—1817 kobiety ubierają się niekorzystnie dla urody. Całym urokiem ówczesnej mody jest jej intrygująca tajemniczość. Nigdy nie wiadomo, jaki motyl kryje się w poczwarcie szpetnych osłonek.

Upodobanie do lekkich materji każe je nosić i w zimie. Napróżno lekarze wszystkie choroby, wynika-



1809 r.

jące z zaziębienia, nazywają „muślinowemi chorobami“ i gwałtowne szerzenie się suchot przypisują zbyt lekkiemu ubieraniu się. Moda jest nieubłagana. Kiedy w 1803 r. influenza poraz pierwszy wybuchła w Paryżu, liczba zachorowań dochodziła do 60,000 osób dziennie, i tę cyfrę słusznie należało zapisać na ciężar muślinu i tiulu. Szukano jednak środków ochrony od zmiennych wpływów atmosfery. Od r. 1796 rozpowszechnia się na kontynencie angielska flanela, propagowana gorąco przez wielu lekarzy. Od 1802 r. Londyn zaczyna reklamować materiały nieprzemakalne. Skłonność do ustawicznego podkreślania kształtów ciała usuwa używanie płaszczka. Dopiero w 1808 r. zjawiają się w Paryżu damskie okry-

cia futrzane, zwane „wilczurami“, gdyż materiał ich i krój zapożyczony był z Rosji, tego kraju wilków.

Absolutną władzę w świecie mody osiągnął szal kaszmirowy. Lekki, ciepły, kosztowny, estetyczny, łatwy w użyciu, miał wszystkie zalety, które mu zapewniły długowieczność i niestygnącą miłość niewiast. Wobec ich zapachu nawet Napoleon był bezsilny. Przywóz prawdziwego kaszmiru był zabroniony pod groźą wysokich kar pieniężnych, ale to stanowiło jeszcze jeden więcej urok zakazanego owocu. Józefina miała z górą 300 szali w cenie od 15.000 do 20.000 franków za sztukę. W wyprawie Marji Ludwiki były szale po 1200 do 5000 fr. U Corbin'a przy ulicy Richelieu można było dostać

zupełnie ładny szal za 600 franków.

Nie cena jednak, ale sposób noszenia szala, decydowały o jego wartości i znaczeniu. Mówiło się: „dama pięknie udrapowana“, nie zaś „pięknie ubrana“. Nieporównany wdzięk i grację w noszeniu szala rozwijała Józefa. Damy, mające pewne wątpliwości co do własnego instynktu pod tym względem, mogły się udać na studia do pani Gardel, która nie tylko występowała w Paryżu w tańcu z szalem, ale udzielała lekcji w sztuce przybierania póż, drapowania się i gracji ruchów.

Szal stał się źródłem emulacji salonowej i troskliwych zabiegów estetycznych.

Spero

H I G J E N A D Z I E C K A

Pierwsze zabiegi po urodzeniu dziecka. Drogi rodne, któremi dziecko przesuwają się przychodząc na świat, są bardzo trudne do odkażenia (zdezynfekowania), to też oczy noworodków podczas porodu często ulegają zakażeniu. Zakażenie (zapalenie oczu) było dawniej zjawiskiem bardzo częstym, obecnie, dzięki stosowaniu zapobiegawczych środków odkażających, spotyka się rzadziej.

Natychmiast po urodzeniu dziecka, nawet jeszcze przed oddzieleniem go od matki, należy przemyć

jego oczy. Robimy to zwitkiem higroskopijnej sterylizowanej waty, umoczonej w gotowanej, ciepłej wodzie. Następnie wpuszczamy pod wpółotwarte powieki jedną lub dwie krople roztworu Credé'go: roztworu azotanu srebra (lapisu) 2% (2 na 100) lub nawet słabszego (1%). W braku azotanu srebra można użyć kilku kropli soku cytrynowego; w ostateczności można się zadowolnić zwykłym przemyciem gotowaną wodą.

Przecięcie pępowiny. Dopiero po tym pierwszym zabiegu

przystępujemy do przewiązania i przecięcia sznurka pępowinowego (pępowiny). Wprawdzie wykonanie tego, jak zresztą i poprzedniego zabiegu, należy do akuszerki, wobec jednak nieraz zdarzających się nieoczekiwanych porodów, każda z nas może być zmuszoną do zastąpienia jej w pierwszej chwili po porodzie. Ja sama znalazłam się kiedyś w rozpaczliwej sytuacji: byłam jedyną osobą, obecną przy najzupełniej nieoczekiwanym porodzie, który odbył się niezmiernie szybko; byłam bezradna, nie mając

wtedy najmniejszego pojęcia, jak zabrać się do rzeczy. Akuszerka przybyła dopiero po 3 kwadransach. Szczęśliwie dziecko przeżyło te 3 kwadranse bez żadnej pomocy, i w danym razie wszystko zakończyło się pomyślnie. Ten fakt z mojego życia i cały szereg podobnych, o jakich słyszałam, skłonił mnie do umieszczenia poniższych wskazówek. Nożyczki i tasiemka lub lniana nić — oto wszystko, co do tego prostego zabiegu potrzeba. Z całym naciskiem trzeba tu zaznaczyć, że wszystkie te przedmioty muszą być bezwzględnie jałowe (odkażone) — tasiemka lub nici wygotowane, nożyczki również wygotowane lub opalone nad płomieniem spirytusowym lub gazowym. Ręce przystępującej do zabiegu winny być starannie wymyte i wytarte spirytusem.

W odległości 2 do 3 centymetrów od pępuszki dziecka przeciągamy pod sznurkiem pępkowym podwójną nić lub tasiemkę i, uniósłszy oba końce ku górze i przewinąwszy jeden koniec dwukrotnie koło drugiego, mocno je ściągamy, aby całkowicie zacisnąć naczynia krwionośne pępownicy. Potem w odległości $1\frac{1}{2}$ centymetra nad podwiązaniem przecina się sznurek pępkowy (nożyczki wygotować lub opalić nad płomieniem spirytusowym lub gazowym), następnie okrę-

ciwszy jeszcze raz pępownię nicią lub tasiemką, robi się drugi ostateczny węzeł na poziomie brzozy, poprzednio utworzonej. Trzeba uważać, aby nić, względnie tasiemka, była dobrze zaciśnięta, gdyż, o ile dziecko oddycha źle, krążenie krwi w naczyniach pępownicy może powrócić i wywołać krwotok. Pępownię podwiązuje się i przecina wtedy, gdy pulsowanie (tętnienie) w niej ustanie, co się wyczuwa, ująwszy sznurek pępownicy między palce; tętnienie zanika w parę minut po porodzie.

Mycie dziecka. Oddzielony dziecko od matki, należy je bardzo starannie oczyścić i umyć. Pokryte jest ono mazią łożową, która gromadzi się najobficiej na głowie i w fałdach skóry: na karku, pod paszkami, w okolicy pośladków i t. p. Do usunięcia jej najlepiej użyć waseliny względnie oliwy.

Czynności tej należy dokonywać szybko i odsłaniać tylko niezbędne w danej chwili części ciała, aby dziecka nie oziębici. Po usunięciu mazi, przystępuje się do kąpieli dziecka w wodzie przegotowanej, cieplej o temperaturze 36° — 37° Celsjusza (28° — 29° Reomura). W kąpieli podtrzymujemy dziecko dłonią (lewą), rozstawioną pod karkiem, ażeby głowa nie zanu-

rzyła się zbyt w wodzie, ręką zaś wolną mydlimy i spłukujemy. Kąpiel powinna trwać krótko — parę minut, poczem dziecko starannie osuszamy, owinąwszy je dobrze wsiąkającym, ogrzanym prześcieradełkiem i wreszcie pudrujemy talkiem we wszelkich fałdkach skóry.

Opatrunek pępuszka. Po wykąpaniu należy opatrzyć pępuszek. Opatrunek robimy z gazy sterylizowanej, złożonej w kilkoro w kształcie kwadratu z otworem, przez który to otwór przesuwają się pozostały kawałek sznurka pępkowego.

Brzegi tego opatrunku podnosi się do góry i zawija ku środkowi. Dla ułatwienia sobie zadania można również rozciąć kwadrat od połowy jednego brzegu do środka i w ten sposób owinąć pozostałą część sznurka pępkowego. Tak owinięty sznurek pępkowy przykrywamy jeszcze raz dość grubo gazą i przymocowujemy do brzuszka opaską (bandażem), którą zawiązuje się tasiemeczkami, przyszytymi do końców, lub w ostateczności przypina się agrafką. Opaska powinna być miękka, elastyczna i nie powinna zanadto ścisnąć brzuszka. Po nałożeniu opatrunku, dziecko należy ubrać, spowinąć i ułożyć do snu. (c. d. n.)

POD ZNAKIEM ZIELENI I SŁOŃCA

Dziesiątki interesów, setki drobniactw — ściąganie gotówki, formalności urlopowe i paszportowe, informacje, mapy, listy, depeche, spóźnienia na obiad, otwarte do pakowania walizki, pośpiech, zamęt, zmęczenie, żegnania rozpалonych murów — wakacje!

Tak, wakacje. Myślało się o nich, ślęcząc nad stosami papierów w biurze, przy brzęku telefonów, w tłoku ulicznym, w dniu szarugi i wichury, w gorączkowym kołowrocie dnia i wieczora, myślało się o swobodzie, ciszy, dalekich widnokręgach, nowych ludziach, a przede wszystkim o wypoczynku, wzmożeniu sił, o zapasie ich na nowy okres przymusu i żmudy.

W jakim stopniu ziszczają się te upragnienia, z czem wracają do siebie gromady mieszkańców miast jesienią?

Młodzież, jak młodzież — bujna i rześka, rozbawiona i zuchowata — ale wszyscy inni, czy z dosytem i pogodą.

Ktoś wyrwał się i zapędził daleko — widział rzeczy imponujące, wspaniałe. Wraca jednak przeładowany wrażeniami i chciałby teraz właśnie z swem bogactwem wypocząć, użyć wakacji

Inni znowuż wysilili się na modne uzdrowisko. Oczywiście — wycieczki, sporty, rozmowy, rewja szyku i blagi, sezonowe flirty i flirtiki, po których właśnie należałoby uczciwie wypocząć...

Z cichych letnisk ściągają tłumy letników — nudno, marnie czas się spędzało. Deszcz lał, jak z cebra, upały były nieznośne; ani partnerów do kart, ani gazet w porę, same ziewania i plotki — ospale i bez humoru wraca się do miasta.

Wreszcie i ze wsi, z tej szarej wsi, jadą ludzie. Mieli swobodę i książki, święta i pracę, dzielili troski, związane nie z giełdą, ale z tajemnicą poczęcia i plonu, z wodą i słońcem, z gromadą ludzi, wrosłych w ziemię rodzimą.

Ci wracają naprawdę odrodzeni i odmłodzeni — słuchali wielkich praw lata. Bo im kto głębiej te prawa odczuje, według nich przeżyje choćby krótkie tygodnie, tem więcej łask wiecznie młodej natury doświadczy.

Idzie jednak o to, jak i w innych wypadkach znaleźć drogę, jak się wśród wszystkich możliwości zorientować, co wybrać? Robić wycieczki, jeździć konno, wiosłować, zbierać poziomki i grzyby, kosić, podlewać kwiaty, malować, zbierać motyle, suszyć rośliny, czytać poezje, pachnące miodem i malinami? Wszystko to są rzeczy doskonałe, lecz aby mogły w pełni działać — wymagające pewnego przygotowania.

Sielski trud i rozrywka najbardziej tu są pomocne, ale nie każdy może znaleźć się na szarej wsi — no i bardziej złożonym naturom to nie wystarcza. Potrzebne jest właśnie pewne przygotowanie, jak potrzebne jest do zrozumienia —

choćby przybliżonego — muzyki, architektury, zwyczajów egzotycznych.

Trzeba najpierw umieć patrzeć.

Roztargnione, przelotne spojrzenie na obłoki, gęstwę zieleni, toń wodną, pień omszony, mrowisko, dzieci, bawiące się kwiatami — daje li zamglone choć barwne plamy, nie pogłębia jednak wrażenia. Dopiero wpatrując się w szczegóły, śledząc ruchy, kolory, refleksy, zdobywa się poczucie pewnej głębi, zespołu — i wysiłkiem skupienia zdobywa je na własność rozradowania. Bowiem obserwacje takie — rzecz szczególna — zawsze są radosne i krzepiące.

Trzeba dalej umieć słuchać.

Słuchać rozbują i ech wiatru, Iepiotu młodych listków, symfonii boru, plusków i śmiechów wody, łowić modulację głosów zwierzęcych i ludzkich w różnych godzinach zabawy i pracy, wsłuchiwać się w dzwoniącą ciszę gwiazdzistej północy i letarg skwarne go popołudnia.

Trzeba umieć obcować z otoczeniem — z piaskiem, strumieniem,

niwą, łąką, z naiwnością, prostotą i szczerością dusz.

Trzeba umieć wynaleźć miejsce i porę do modlitwy, do swawoli i sentymentów, do fantastycznych lęków, do myśli o najdroższych zmarłych, do nadziei i kochania ojczystej przeszłości.



A nadto — trzeba by wypracować swój styl, krój ubioru (sielski może, lecz to nie znaczy ludowy) — słowem dążyć do znalezienia praw Lata, które uświęca to, co zima i miasto potępiają, a odrzuca to, co one aprobują.

Pod znakiem Zieleni i Słońca rozkwitną zgoła inne idee uczucia, przepisy, formy towarzyskie, moda nawet, niż pod znakiem Murów i Automatów.

Lato da im sankcję i prawo do szczęścia. Nie zamierzamy tu, bo to byłoby zgoła przedwczesne, podawania jakichś określonych programów.

Każdy wiek, rodzaj, charakter, zawód muszą wykreślić w chwilach sposobnych drogę, wiodącą przez sztukę patrzenia, słuchania i obcowania.

Alé byłoby to rzeczą wysoce ciekawą i pożądaną, gdyby na łamach tych zabrały głos osoby, mogące dać wskazówki w zagadnieniu: jak należy mieszkańcom miast korzystać najowocniej z darów lata?

L. Konopacki.

JAKĄ POWINNA BYĆ PANI DOMU

Dostałam zapytanie od młodej mężatki, jakie są obowiązki gospodyni domu na wsi względem gości, zaproszonych przez nią na lato. Uważając tę kwestję za bardzo ogólną, postanowiłam odpisać na nią nie prywatnie, ale na łamach „Bluszczu“.

Otóż pani domu, będąc osiłą, naokoło której wszystko się w nim obraca, od której zależy ład, porządek i dobrobyt, przyjemność lub przykreść pobytu w jej domu — jednym słowem, będąca jego duszą i nerwem — powinna być wobec gości, uprzejma, gościnna, serdeczna, zawsze miła, wesoła i uśmiechnięta, troski i złe humory chowając dla siebie, pełna inicjatywy w wymyślaniu rozrywek dla nich,

przeczuwająca każdą ich potrzebę, uważna na każde upodobanie tak, aby im uprzyjemnić każdą chwilę. Nie krąpując, zawsze mieć ich na oku, nie tamując swobody, umieć znaleźć się w odpowiedniej chwili, jednym słowem, zapominając o sobie dla zwoich gości. Zresztą wrodzona polkom gościnność, z którą, zdaje się, że na świat przychodzą, pomoże odgadnąć wprawnej gospozi, co robić, aby zasłużyć na wdzięczność zaproszonych, zostawić im jaknajmilsze wspomnienia i zarobić na miano przemiłej i wzorowej pani domu.

Wymagając tak wiele od gospodyni, słusznem będzie poruszyć także obowiązki gościa. Otóż gość miły jest taki, który umie zastoso-

wać się do warunków miejscowych, łatwy w pożyciu, bez zbytejnej ceremonji, wesoły, swobodny, prędko staje się domowym, pomimo to umie zawsze usunąć się, kiedy jest zbyt liczny, widzi i słyszy tylko to, co potrzeba, swoim taktem zatuszować umie każdą sytuację, każde gospodarskie niepowodzenie, nie narzucający się, wdzięczny za doznaną gościnność, w razie potrzeby umie stać się użytecznym, jednym słowem przez te kilka tygodni przypadkowego współżycia, staje się miłym i upragnionym towarzyszem. Tak pojmując i spełniając wzajemne obowiązki gospodyni domu i gości, z żalem żegnając się, z przyjemnością myślą o przyszłym lecie, które może ich znów połączyć.

J. S.



MODNE MANJE

MAH JONG — ZADANIA KRZYŻYKOWE.

Rozwiązywanie zadań krzyżkowych przeszło w manję!

I dla nas, którzy tak chętnie wzorujemy się na zagranicy, bliskim jest dzień, kiedy wschodzące słońce powita zadanie krzyżkowe, jako przykazanie chwili!

Czy słusznym będzie podziw, krytyka lub zgorzzenie, jeżeli gość ten przenosi nam ze sobą powiew z szerokiego świata, jeżeli w słabostce, która miłościwie panuje paryżankom, złotowłosym córom Albionu i zaborczym, a ślicznym naszym zamorskim siostrzycom, znalazła się odrobina litości i dla nas, odciętych od świata drożyną paszportów, dbałością o siłę polskiej waluty i.. posłuszeństwem nakazowi, idącemu z góry.

Zadanie krzyżkowe, obejmuje było po wszechwładnym w zimie Mah-Jongu, który zawiął głębią swych kombinacji systemów, skazał na banicję zapomnienie długo i spokojnie a miłościwie nam panującego Bridgę'a. W Paryżu, gdzie Mah-Jong przeszedł w ostrą epidemję, bagażem codziennym paryżanki, była kasetka, zamykająca w swych głębiach narzędzie tortur i rozkoszy, którem rozgrywano partje, pochłaniające partnerki do zapamiętania.

Grywano w dzień, w czasie poobiednich herbat, na wieczornych zebraniach zarzucono flirt, zaniedbano taniec, wszystko dla słońca, które weszło, dla Mah-Jonga!

I oto dzisiaj znajduje się on nad przepaścią! Zdystansowany przez zadania krzyżkowe, tak zwane „mots croisés“, maluczko, a spocznie snem wiecznym w inkrustowanej szkatułce, którą znaczyła do niedawna inicjałami swymi karna niewolnica, co go do godności bóstwa posłusznym swem wyniosła poddaniem.

Paryż, widownia pierwszego międzynarodowego konkursu, tej egzotycznej gry, wyznaczywszy i rezerwując walkę o szampionat, nagrodziła zwycięzców i... odwróciła kartę.

Śliczna i utalentowana powieściopisarka, księżna Bibesco, słusznie twierdzi, że ludzie nadewszystko lubią zadawać sobie trud, a to upodobanie jest bezwzględnie podłożem wynalezienia zadań krzyżkowych.

Ci, co dziwią się wiecznie, i to dziwią z domieszką niewygasłego sceptycyzmu, zaledwie ochłonęli po stwierdzeniu faktu, że dzisiaj błyszczą nie tylko źrenice pięknej kobiety, nie tylko spryt jej i błyskotliwy dowcip, nie tylko butony

brylantowe na różanej muszli ucha, jak krople świetlanej rzucone rosy, ale błyszczą nawet jej śmigłe nóżki, zakłęte w pajęczą tkaninę fosforyzowanych pończoszek, muszą dziwić się znowu zmienieniu szaty niewieściej w tablicę, która służy do rozwiązywania zadań krzyżkowych.

Codziennym objawem jest dzisiaj w krajach, gdzie gorączka krzyżkowa przeszła w stan ostry i epidemiczny, noszenie sukien z materiału nie w kratę, a w tak zwaną „szachownicę“, która służy za pole do zadań.

Znana i sławna Diva kabareto-wa Stanów Zjednoczonych, wystąpiła na scenie modnego „Music Hall'u w pończochach „w kostkę“, na której jeden z najdowcipniejszych mistrzów krzyżkowych zamieścił specjalnie ułożone zadanie.

Widownia, po rozdaniu szematów zadania, mając do rozwiązania takowego krótki termin antraktu, wzięła się gorączkowo do dzieła. Zwycięscę nagrodzono isticie po amerykańsku! Za trud, spryt i szybkość orientacji, obdarzono go łaskawem zezwoleniem złożenia na ręce gwiazdy oznaczonej z góry sumy, przysznaczonej na cel społeczny, uznany przez nią za najgodniejszy.

U nas pisma tygodniowe i miesięczne pomieszczają też od jakiegoś czasu owe sławne zadania. Są one jednak w porównaniu z zagranicznymi, dziecinną igraszką. Złośliwość i chęć torturowania bliźnich nie rozsiadła się widocznie jeszcze tak wszechwładnie, jak w krajach, które są nam drogowskazem.

W Polsce wystarczy, aby jeden przeciętnie wykształcony manjak, za pomocą encyklopedji, słownika, kilku atlasów i podręczników historycznych, poświęcił parę godzin dziennie, zakłócając przytem normalny bieg myśli domowników, a wszystkie zadania, pojawiające się w naszych czasopismach, zostaną bezwzględnie odarte z tajemniczości, jaką starał się otoczyć je ich twórca. Zagranicą, doceniając wartość nowej manji i mistrzostwo twórcze tych, którzy dają jej karmę, mają podobno otworzyć akademię międzynarodową, która na członków czynnych przyjmować będzie uczonych specjalistów, a tworząc sekcje: przyrodniczą, historyczną, matematyczną, filozoficzną itp. poświęci się jedynie rozwiązywaniu zadań krzyżkowych. Odciaży to zbawczo zaabsorbowane główki paryżanek, zaborczo zatopione w od-

grzebywaniu z popiołów niepamięci nazwisk satyryków piętnastego wieku, jezior azjatyckich, biskupów średniowiecza, oznak radości wśród Zulusów i t. p. ześrodkowań dowcipu ludzkiego.

Wysokim zmysłem życiowym jest odszukiwanie dobrych stron, w najzawilszych sytuacjach. Otóż sądzę, że aura, jaką nas darzy lato roku pańskiego 1925, wraz z przymusową kwarantanną w komfortowych ubikacjach naszych swojskich Palace Hoteli, niejednokrotnie bez światła i najkonieczniejszych wygod, do jakich dzisiaj przywykli już nawet jaskiniowcy, zadania krzyżkowe zamienia z kielicha udręki w źródło rozkoszy, jaką daje zapomnienie! Naoczni świadkowie twierdzą, że kobieta Zachodu, ten doskonały twór kultury powojennej, nawet w wagonie Expressu, który unosi ją ku wyśniewanej Ostedzie czy innej „Ziemii Obiecanej“, nie pomna na cuda natury, odbijające się w lustrzanych szybach wagonu, tak jest zatopiona w zmierzaniu zawrotnych głębin Larousse'a, który najczęściej posiadał klucz do rozwiązania tajemnicy, że jeśli oderwie wzrok, zatapiając go w niedbale wspartym o miękkie poduszki kształcie towarzysza podróży, nie czuje w nim niedawnego wroga, który, przyszedł na świat po to, aby zwyciężony, lec w prochu u stóp jej miniaturowych, ale zesłańca bogów, co odpowiedzieć może trafnie, na jeden z wielu znaków zapytania, jakimi zbiedzona jej główkę obsiadło, nierozwiązane zadanie krzyżkowe!

W. D

NOWY PARK

Piękny był kiedyś lewy brzeg Wisły, która, minawszy Warszawę, toczyła ku Gdańskowi swe szare wody. To też nazwano go z francuska Żoliborzem, wznosono tam dworki pańskie, ogrodami otoczone. Lecz przemoc obca zburzyła piękne osiedla, zniweczyła zaczątek pierwszego ogrodu pomologicznego, powstającego tam z inicjatywy ś. p. prof. Jerzego Alexandrowicza, a na ich miejscu wzniosła symbol niewoli — srogą Cytadelę. W jej murach zagasło niejedno bujne życie, na jej stokach ostatnie swe tchnienie wydawali najlepsi synowie Ojczyzny.

Do takich należał naczelnik Rządu Narodowego, Traugutt, którego pamięć wolna Polska uczciła krzyżem, wzniesionym jednak podobno nie tam, gdzie kaźń się odbyła*). Jego pamięć utrwalili teraz i rozpowszechnili wśród najszer- szych warstw ludności pomnik

*) Oświadczenie prof. E. Jankowskiego, naocznego świadka egzekucji.

trwalszy od drewnianego krzyża — park imienia Traugutta.

Rozpoczęty oficjalnie r. 1964 przez posadzenie dwóch szeregów dębów rękami przedstawicieli władz miejskich i społeczeństwa warszawskiego, został w dniu 1 lipca 1925 r. uroczystie poświęcony i oddany do użytku mieszkańców dzielnicy b. gęsto zaludnionej.

Obszar urządzony mierzy 6,5 ha, lecz nie jest to jeszcze cały park projektowany. Ta pierwsza część, założona w stylu geometrycznym, o szerokich, prostych alejach i gładkich, rozległych trawnikach, ogrodzona ze wszystkich stron, przylegająca do ul. Zakroczymskiej, jest parkiem wystawowym. W razie potrzeby mogą tam być wzniesione pawilony tymczasowe, a po ich skasowaniu, nanowo obsiane, zazielenią się trawniki

Już w roku przyszłym zostanie urządzona druga część projektowanego parku, a potem i następne, dzięki czemu, w ciągu niedługiego okresu, północny kraniec Warszawy pozyska ogród publiczny obszaru łącznego 26 ha. I tam, gdzie jeszcze dzisiaj wznoszą się groźne bastiony, jak macki, wysunięte przeciwno miastu przez Cytadelę, rozścielą się szmaragdowe trawniki, poprzecinane białymi smugami dróg, a w falach Wisły będą się przeglądały, niby symbol pokoju, zielone gałęzie drzew.

Oby ten nowy park stał się zaczątkiem odrodzenia najbrzydszej dzisiaj dzielnicy Warszawy, a czystym swem tchnieniem nie tylko chore płuca, ale i chorego ducha ludu tamtejszego, uzdrawiał, zaś w sercach jego budził miłość i poszanowanie do świata roślinnego!..

* * *

Wobec licznie zgromadzonych przedstawicieli władz państwowych, miejskich i wojskowych, ksiądz poseł Wyrębowski w serdecznych słowach przebiegł wspomnienia, związane z miejscem, gdzie dzisiaj nowy ogród się zieleni, poczem dokonał aktu poświęcenia. Następnie prezydent m. st. Warszawy przedstawił stosunek ilościowy powierzchni ogrodów do całego obszaru miasta, i zamierzenia Magistratu na najbliższą przyszłość. Okazuje się, że gdy dziś Warszawa ma 216 ha ogrodów czyli 2% przestrzeni zadrzewionej, to po urzeczywistnieniu konkretnych już zamierzeń będzie miała 1020 ha, czyli około 9% całej powierzchni. Następnie podniósł zasługi obecnego kierownika ogrodów miejskich P. L. Danielewicza i jego współpracowników przy zakładaniu parku Traugutta.

Po przecięciu wstęgi przemawiał nestor ogrodników, prezes Komitetu plantacji miejskich, prof. Edmund Jankowski i w imieniu Tow. Ogrodniczego Warszawskiego p. Stanisław Schönfeld.

Przez otwarte w tej chwili bramy nowego parku napłynęła fala miejscowa, ludność dorosła i działwał ciesząc się ciągłymi promieniami słońca, które po szeregu dni dżdżystych zabłysło na firmamencie, a z sąsiedniego stoku fortu patrzył krzyż Traugutta na nowy dowód kultury polskiej, powstały w miejscu, gdzie moskale przejawy tej kultury szubienicami gnębili.

Czy się opłaci robić zapasy na zimę?

Nie dalej, jak wczoraj, postawiła mi to zapytanie osoba, prowadząca dom od lat przeszło trzydziestu, a zatem mająca chyba niejaki doświadczenie gospodarcze, i na moją odpowiedź twierdzącą i bardzo stanowczą wytoczyła cały szereg argumentów w rodzaju braku miejsca w miejskich mieszkaniach, znacznej ilości zapasów, które się psują i marnują, możności nabycia wszystkiego w dowolnej ilości w chwili, kiedy coś jest potrzebne. Otóż nie będę już mówiła o gospodarstwach na wsi, gdzie brak zapasów zimą wych jadłospisy doprowadzi do niesłychanej jednostajności i ubóstwa i gdzie wyrób konserwów wszelkich, suszenia, kompotów soków, marynat, powinien nie tylko domowe potrzeby zaspakajać, ale nawet starczyć na sprzedaż, z której to sprzedaży dochód powinien pokrywać inne wydatki na kuchnię, lecz nawet i w mieście, w na skromniejszym, najoszczędniejszym gospodarstwie, nie powinno zabraknąć rozmaitych konserwów — ze względów oszczędnościowych. Owoce suszone dadzą doskonałą zupełną lub kompot do pieczystego czy na leguminę — oczywiście owoce te należy ususzyć gdzieś na wsi, lub na lotnisku, gdzie są rzeczywiście

cie tanie, bo jeżeli będziemy suzyli jabłka, kosztujące po dwa złote kilo, kupione w Warszawie, to kalifornijskie jabłka wyjdą z dziesięć razy taniej. Mając aparat Weck'a, a nawet kilkanaście lub kilkadziesiąt, zależnie od potrzeb domu, kompotjerek, możemy zrobić doskonale kompoty, a jaka różnica będzie w cenie ich i kompotów kupnych zaraz dla przykładu obliczę: z dwóch kilo renklod à dwa złote kilo i kilo cukru będziemy mieli 3 kilo kompotu (w kompotach wagi owocu i cukru nie ubywa), które będą kosztowały nas pięć złotych groszy dziesięć, — półkilowa puszka gotowego kompotu kosztuje najtaniej dwa złote, a nieraz znacznie więcej, czyli trzy kilo kosztowałyby najtaniej dwanaście złotych; konfitury, tak ostatnimi czasy zaniedbane, są najzdrowszą słodyczą dla dzieci i dla osób, słabych na żołądek, a mając ich zapas w domu, zaoszczędzi się poważne ilości cukierków, ciastek i innych smakołyków kosztowniejszych i mniej zdrowych. Szczaw i pomidory w butelkach kosztują trzecią część tego, co kupione w sklepikach, już nie mówiąc o tem, że są czystiej, staranniej przyrządzone. Można kwestjonować conajwyżej konieczność solenia ogórków, kwaszenia kapusty i buraków, bo przy niedużej rodzinie te, dużo miejsca zajmujące, a łatwo się psujące i dla odległości piwnicy nie poddające się łatwo kontroli produkty, mogą być zbędne. Natomiast kompoty, syropy, konfitury, trochę ostrych marynat i grzybków w każdym domu być powinny. Jeżeli gospodyni jest dbała i staranna, powinna te zapasy często przeglądać, wszelkim początkowym psuciom się zapobiegać i wszystko we właściwym czasie zużytkować. Mamy zresztą od czasu inwazji niemieckiej jedną z niewielu dobrych rzeczy, jakie nam Niemcy pozostawili: „benzoes“. Niech panie nie myślą, że w celach reklamowych wciąż piszę o tym wybornym środku; — dopóki go sprowadzano z zagranicy, miałam poniekąd wyrzuty sumienia, chociaż ten obcy środek, dzisiaj już jest wyrabiany w kraju, — niestety, jednak nie dosyć rozpowszechniony. Od sześciu lat, jak go używam, ani jeden słoik konfitur, kompotów, ani marynat mi się nie zepsuł; — takie łatwo gnijące rzeczy, jak korniszony i grzybki w occie, nawet w zaczętych słoikach po roku zupełnie są świeże, bez śladu pleśni na nich, a mam tylko malusią, latem bardzo ciepłą śpiżarkę. Mówiąc o śpiżarce, przypomniałam o sprawie braku miejsca, wysuwanego, jako poważny argument, przeciw robieniu zapasów domowych. Otóż przez

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

KRUCZA № 32, mieszkania 3.

Telefon 102-77.

Zawiadania swoje pacjentki, że od dn. 8 sierpnia do 2-go września przyjmować nie będzie z powodu wyjazdu.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

GALANTYNA Z INDYKA.

Indyki starsze, jak roczne, nie są dobre na pieczone; najlepszym ich użytkowaniem jest galantyna, jako danie smaczne, eleganckie i podzielne. Szczególniej latem, gdy mile widziane są wszelkie zimne potrawy, i na większe zebrania, kiedy dobrze mieć różne rzeczy przygotowane wcześniej, aby umniejszyć kłopotu i kucharce, i gospodyni, zrobienie takiej galantyny zawsze się opłaca. Otóż dużego indyka przed zarżnięciem na godzin parę upoić, dając mu duży kieliszek wódki lub też garść ziarna jęczmienia lub przynicy, wymoczonej w spirytusie, (indyk je łokomie zdziobie); zwiększa to ogromnie kruchość mięsa. Po zarżnięciu dać powiszieć godzin parę, wieszając za łapy, aby krew dokładnie uciekła, zanurzyć całego na chwilę we wrzątku, próbować, jeżeli pióra już łatwo się wrywają, zanurzyć natychmiast w zimną wodę, poczem natychmiast skubać. W taki sposób pióra wszystkie doskonale odstaną, nie zadzierając nigdzie skórki; nawet włoski, które zwykle trzeba opalać, powinny dać się usunąć po takim podwójnym zanurzeniu we wrzątku naprzód, a potem w zimnej wodzie. Pierze się przez to nie zmarnuje, gdyż można je potem przesuszyć, cienko rozsypane na słońcu. Jeśli jest czas na to, można takiego oprawionego indyka potrzymać dobę w piwnicy, — można go jednak po upojeniu używać w godzin kilka po zarżnięciu, będzie dostatecznie kruchy.

Indyka nie paproszyć, odjąć głowę z szyją, dwa pierwsze stawy skrzydeł i nogi. Położyć indyka na stolnicy, grzbietem do góry, przeciąć ostrym, cienkim nożem skórę na grzbiecie i ostrożnie tę skórę wraz z przylegającym mięsem zdejmować z kości, nie dziurawiąc skóry. Przy takim zdejmowaniu skóry wyjmuje się i wszystkie wnętrzości, jak przy paproszeniu zwykłym, a nie będzie niepotrzebnego otworu; mięso z piersi powinno całe pozostać przy skórze.

Kości, wyjęte z indyka, i wszystkie patrochy, za wyjątkiem wątróbki, rastawia się wraz z kością od łopatki cielejącej na rosół. Do tego rosółu należy dodać parę marchwi, pietruszkę, parę gałązek kopru. Rosół taki, bardzo smaczny, może być podany w filiżankach do śniadania lub obiadu lub też użyty na

galaretę do galantyny, o ile rosół z tej ostatniej by nie był klarowny albo nie dał się sklarować zwykłymi sposobami.

Farsz należy przygotować następujący: mięso z dużej łopatki cielejącej i oskrobanej z kości, wyluzowanych z indyka, tłuszcz wewnętrzny z indyka, pół kilo bułki, wymoczonej w mleku, tyleż młodej słoniny, (może być tłuszcz od wędzonej szynki) przepuścić dwa razy przez maszynkę, zbić cztery całe jaja, osolić, opieprzyć, utrzeć i wsypanąć pół gałki muszkatełowej, sok z pół cytryny, garść dobrze usiekanego koperku, wyrobić wszystko doskonale. Skórę indyka rozłożyć na stole, na mięsie z piersi położyć warstwę farszu, na to jaja twarde, pokrajane na ćwiartki, plastery przerastającej surowej szynki, wątróbkę indyczą i, jeśli jest, cielejącą, dobrze wymoczoną i pokrajaną w grubą kostkę, — potem znów farsz i znów różne dodatki, aż się skóra zupełnie zapełni. Zasyć gęsto grubymi nićmi, aby nie popękało. Zawinąć w stare płótno, zaszyć lub mocno osznurować szpagatem, wstawić w dużym rondlu z zimną wodą w takiej ilości, aby galantynę dobrze objęło, włożyć parę marchwi, pietruszkę kopru, parę ziarn pieprzu i zela, osolić i zagotować na mocnym ogniu, poczem odsznurować i gotować na wolnym ogniu trzy godziny. Galantynę wyjąć, nie rozwijać z płótna, dać tak nawpół przestygnąć na półmisku, poczem położyć na stolnicy, przycisnąć deską i kamieniem, aby ją nieco spłaszczyć, i wynieść na chłód, gdzie powinna stać przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, gdyż wcześniej nie da się ładnie krajać w cienkie plastry. Przed użyciem samem płótno się zdejmuje, galantynę przekraja się naprzód wzdłuż, poczem kraje na cienkie plastry, posypuje się posiekaną galaretą i podaje z sosem provençal, tatarskim lub musztardowym. Smak od galantyny wysadzić do ilości czterech szklanek, jeśli mętny — sklarować paru białkami, rozbitymi z łyżką mocnego octu, precedzić przez gęstą serwetę, zakolorować paru kroplami karmelu do jasnozłocistego koloru, dodać osiem do dziesięciu listków żelatyny, wymoczonej w pierw godzinę w zimnej wodzie, gdy się żelatyna rozpuści, przelać do miski czy salaterki i zastudzić. Podając galantynę, galaretę wyrzucić, posiekać nożem na stolnicy i osypać nią ułożone na półmiskach plastry. Z tej proporcji t. j. z jednego dużego indyka wychodzą dwa ogromne półmiski galantyny, — t. j. od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu plastrów.

całe lato i dużą część jesieni wszystkie słoje można trzymać w nieopalanym w tych czasach piecach, gdy zaś nastanie zima, jakiś nieduży szafa, zaopatrzonej w najprostrze półki, może pomieścić ogromną ilość słoików i butelek, należy tylko dobrze obliczyć wysokość półek, aby nic miejsca nie zmarnować. Naprzykład, na tej przestrzeni, co zajmą butelki z sokami, można zrobić dwie lub więcej półki na słoiki z konfiturami, które najlepiej trzymać w niedużych, półkilowych słoikach, częścią dlatego, aby częste się nie psuły, a częścią, aby urozmaicać gatunki, używane jednocześnie. Gdyby nawet szafy nie było i nie było chociaż najmniejszej spiżarki, można zawsze tanio nabyć parę skrzyń po towarach, — cały nasz zapas konserwów podzielić na dwie równe połowy, — jedną połowę ustawić w pierwszej skrzyni, zabić szczelnie wiekiem, na to postawić drugą skrzynię, ustawić drugą połowę zapasów, dno przybić na rzemieniach lub zawiasach, aby była ruchoma. Takie dwie skrzynie jedna na drugiej postawione, zajmą bardzo mało miejsca, mogą nawet służyć za stół, jeżeli je przykryjemy serwetą lub ceratą. Konserwy, sporządzane z użyciem „benzoesu“, doskonale całą zimę znoszą temperaturę pokojową. Gdy górna skrzynia się opróżni, co będzie jednocześnie wskaźnikiem, że doszliśmy do połowy naszych zapasów, przeniesiemy ją na dół lub też przeniesiemy do niej zapasy z dolnej skrzyni. Specjalnych słów kilka chcę tu poświęcić robieniu nalewek i likierów domowych. Przewyższają one w smaku kupne, a mają tę zaletę, że w skład ich wchodzi, oprócz cukru i alkoholu, tylko czyste owoce, bez żadnych chemicznych domieszek, używanych stale przy masowych, fabrycznych wyrobach, — wskutek czego likiery kupne tak zabójczo działają na zdrowie. Wszystkie właścicieli sadów owocowych na wsi, w miastach i miasteczkach powinny zacząć wyrabiać, tego lata jeszcze wina owocowe. Tegoroczna wystawa tych win w Bagateli dowiodła, że wina takie w niczem nie ustępują zagranicznym, są od nich zdrowsze, a przy wyrobie domowym, na własny użytek, nie opłacając akcyzy, będą tak tanie, że będą mogły być używane w najskromniejszych środkami rozporządzających domach. Wszelkich informacji zasięgnąć można w warszawskim towarzystwie ogrodniczym; tam też można nabyć drożdże, konieczne przy prawidłowym wyrobie tych win, stanowiące o późniejszym ich smaku, aromacie, trwałości i zawartości alkoholu.

DOBRE RADY

Nie mając w lecie lodu, można sobie poradzić oziębiając wodę chemicznie. Do 2-3 litrów wody, wsypać tyle saletry w proszku i amonjaku, aż się temperatura oziębi poniżej zera, co się sprawdza, za pomocą termometru. Wtedy wstawić przeznaczoną do ostudzenia rzecz w tę wodą — a zaziębnie jak w lodzie.

* * *

Wszelkie butelki słoiki, kompotiery, trzeba myć drobno pokrojonymi kartoflami z popiołem, pogniecionymi skorupkami od jaj, lub zmoczoną w wodzie bibułą, dobrze wypłókać kilka razy wodą — ustawić do góry dnem dla osiknięcia. Następnie słoiki wycierać do sucha miękką ściereczką a butelki, wypłókać mocnym spirytusem, to same wyschną.

Korespondencje działu praktycznego

P. Zofji z Gądek.

Poduszka z № 9 Bluszczu, powinna być zrobiona: albo białą bawełną na białym płótnie albo na szarem płótnie — szarą bawełną. Haftu Richelieu nie powinno się robić kolorami, gdyż to się nie zgadza z charakterem tej roboty. Pod wycięty deseń można podłożyć kolorowy jedwab albo satynę odpowiednią w tonie, do pokrycia mebli.

Sposób rozjaśnienia włosów, za pomocą mycia znajdzie Pani w odpowiedziach z działu kosmetycznego (Dr. Switalskiej) w jednym z ostatnich numerów Bluszczu.

„Swierszcze.“

Nie wiem o wytępienie jakich swierszczy Pani się pyta, ziemnych czy domowych? Na wytępienie szczurów doskonałym środkiem jest mąka zmieszana z wapnem niegaszonym lub gipsem. Stawia się obok miseczki z wodą. Szczur najadłszy się tej mąki odczuwa gwałtowne pragnienie, pije i przyspiesza zabójcze działanie trucizny.

P. I. W.

Atrament wywabi z posadzki lub mahoniu kwas saletrzany. Plamę należy zwilżyć ciepłą wodą i wytrzeć, potem do łyżeczki wody wpuścić 3-4 krople kwasu saletrzanego, umoczyć w niej pędzelek i dotknąć plamy. Skoro zniknie, na-

tychmiast wytrzeć mokrym gałganikiem, — bo zbieleje.

P. Matyldzie.

Skarż się Pani na plagę mrówek w spiżarni. Szczególniej teraz w porze konfitur dają się we znaki. Otóż naczynia z miodem i konfiturami obsypuje się w około popiołem. Lepiej jeszcze posmarować je odwarem tytoniu. Aby mrówki doszczętnie wytępić trzeba zmieszać boraks z cukrem (pudrem) i wdmuchiwać mieszkami w szczeliny.

P. Żuli.

Jedwabne koronki białe pierze się w następujący sposób. Zanurza się je na noc w ciepłym mleku rano wypłókuje w wodzie. Na 12 godzin kładzie się je do wody mydlanej i po tem płócze się w czystej wodzie i rozpina starannie Wieszac koronek nie można.

Czarne koronki pierze się w piwie i wilgotne prasują przez muslin.

* * *

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno a wobec wielkiego napływu listów nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu“.



Opis sukien i robót do Nr. 30

528. Kostjum kąpielowy, czarny, trykoto- wy z białym przybraniem.

529. Kostjum kąpielowy z lila surowego jedwabiu, przybrany ciemnym kolorem.

530. Kombinacja z białej markizety przybrana różowymi szlakami.

531. Koszuła nocna z kremowego basty przybrana lila szlakami.

532. Szlafrok z satyny błękitnej w bar- ne koła podbity gładką satyną koloru piaskowego.

533. Sukienka dla dziewczynki od lat 2 do 4 z sukienka brązowego w dwóch ko- lorach.

534. Sukienka z kremowego woalu dla dwuletniego dziecka, przybrana ponsową taśmą.

535. Sukienka biała, batystowa z haftem i zakładeczkami dla dziecka od lat 2 do 5.

536. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 5 z białej markizetki przybranej barwnym szlakiem.

537. Ubranko dla chłopca od 5 do 7 lat z kawowego welwetu z białym kołnierzy- kiem i mankietkami.

538. Ubranie dla 7 letniego chłopca. Bluzka z surowego jedwabiu, spodeńki granatowe.

539. Sukienka z granatowego woalu. Ząbki oblamowane ponsowym, guziki ponsowe.

540. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 6 z barwej satyny przybrana gładką, odpowiednią w kolorze.

541. Sukienka dla dziewczynki od 6 do 10 lat z zielonej lekkiej wełny przybrana szkockim materiałem.

542. Bluzka angielska z habrowej tafy z białym żabotem przybrana fantazyjnemi guziczkami.

543. Bluzka sukienka koloru brązowego z ciemniejszym przybraniem i guzikami fantazyjnemi.

544. Bluzka z surowego jedwabiu z szma- ragdowym krawatem.

545. 546. 547. 548. 549. 550. Najmodniej- sze fasony spódnic.

551. Wzór do wyszycia na sukience dziecinnej.

552. 553. 554. Wzory do wyhaftowania na dziecinnych sukienkach, lub fartuszkach.

555. 556. 557. 558. Wzory na damską bieliznę — haft i merezka.

UWAGA: Powiększone wzory ro- bót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następują- cych: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50 drobne desenie gr. 75.

Kroje modeli, umieszczonych w Do- datku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50 suknia zwyczajna 2.50 bluzka 2.00 formy dziecinne 2.00 bielizna 1.50

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji do- datku mód. Zamówień nie należy skutecz- niać na blankietach czekowych P. K. O.